Nr 292 Kraków, Czwartek dnia 19 Grudnia 1895. Rok III

Przedpłata
w Krakowie:
rocznie zł. 16·—
kwartalnie „ 4·—
miesięcznie „ 1·35
Za odnoszenie ct. 20
Na prowincji:
rocznie zł. 20·—
kwartalnie „ 5·—
miesięcznie „ 1·70
Za granicę:
miesięcznie zł. 2·—

Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem dni poświątecznych o godzinie 8 rano.

Ogłoszenia:
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.
W „Nadesłanem" wiersz zwykły 20 ct.
Śluby, nekrologi, wiersz 40 ct.
Do działu inseratow. upełnomocniony *Jan Strycharski.*

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Adres Redakcji:
Krakow, ulica Krupnicza l. 11.

REDAKTOR NACZELNY: **JÓZEF ROGOSZ.**
Redaktor odpowiedzialny: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Adres Administracji:
Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.

My i dr Lueger.

W położeniu politycznem, takiem jak nasze formowanie się stronnictw odrębnym podlega warunkom, zupełnie odmiennym od tych, wśród jakich odbywa się proces politycznego rozwoju u społeczeństw, korzystających z niezależności politycznej. Dla narodów wolnych organizacja państwowa stanowi sama przez się tak silną narodową spójnię, że nawet najskrajniejsze wybujałości walki stronniczej ani jej rozerwać, ani osłabić nie zdołają. Gdzie jednak tej spójni nie ma i gdzie idea narodowa opierać się musi na moralnej i dobrowolnej solidarności społeczeństwa, wszelkie różnice opinji, kierunków, haseł, powinny się tylko lekko zaznaczać, nie doprowadzać nigdy do zerwania tej ważnej nici łączącej, jaką jest poczucie narodowej wspólności, a więc w razie potrzeby usuwać się nawet na drugi plan przez wzgląd na publiczne dobro. Nie ma i nie powinno być różnych stronnictw: jest tylko jedno wielkie stronnictwo narodowe, dzielące się tak, jak każda większa partja, na drobne odcienia i frakcje, ale w gruncie rzeczy ożywione jednomyślnością w najważniejszych kwestjach programowych. Na wewnątrz wolno prowadzić walki, starać się o zwycięstwo dla swoich zapatrywań, jednać sobie zwolenników, nadawać własną barwę całemu stronnictwu: ale w razie jakiegokolwiek natarcia z zewnątrz, te drobne walki muszą natychmiast ścichnąć, a wczorajsi przeciwnicy muszą sobie podać dłonie do wspólnego odporu przeciw każdemu, ktoby ideje, łączące cały obóz, w czemkolwiek dotknął. I oto dlaczego rozumni patrjoci mają prawo twierdzić, że broniąc swych zasad i gromadząc pod swoim sztandarem tłumy zwolenników, nie przestają występować w imieniu całego narodu. W naszych warunkach bowiem występuje w jego imieniu każdy, kto przemawia z głębi swego przekonania rozumnie i śmiało, ma na celu jedynie dobro ogółu i dobro przyszłości, i działa pod wpływem swego sumienia, swego rozsądku i miłości Ojczyzny.

W naszej krótkiej, ale dzięki Bogu pomyślnej działalności, nie mamy sobie pod tym względem nic do wyrzucenia. Ani na chwilę nie zapomnieliśmy, że reprezentujemy przedewszystkiem ideę narodową i że w jej granicach walczymy za dobro i tryumf zapatrywań, które w głębi naszego sumienia uważamy za jedynie słuszne i zbawienne. Idea chrześcijańska zresztą zrosła się w naszej historji tak ściśle z ideą narodową, że nie może być najmniejszej obawy o to, aby pomiędzy niemi mógł się kiedykolwiek wywiązać choćby najmniej znaczący konflikt. Tem śmielej przeto i energiczniej wolno nam było karcić każde wykroczenie, każdy błąd, każdy fałszywy kierunek, który dostrzegliśmy i na który nie wolno nam było oczu zamykać. Tych wykroczeń i błędów było w ostatnich czasach więcej, niż kiedykolwiek; co gorsze, popełniane one były w naszem imieniu, nie już w domowej zagrodzie, ale na szerokiej widowni politycznej, więc też szkodziły i nam i naszej opinji w państwie. Trzeba było zatem głośniej i silniej upomnieć, właśnie w interesie należycie zrozumianego dobra ogółu i zdrowego rozwoju narodowej idei. Wystąpienia nasze były potrzebne i jesteśmy przekonani, że były skuteczne. Nie żałujemy ich bynajmniej i ani chwili nie zawahamy się ich powtórzyć, jeżeli (czego nie chcemy i czego nie przypuszczamy) okaże się tego potrzeba. Niezawiśli jednak od niczego i od nikogo, zdanie nasze wyrabiamy sobie swobodnie i wypowiadamy je bezwzględnie i szczerze; wypowiemy je zawsze nawet tym, którzy są z nami najściślej złączeni tu na naszym gruncie, cóż dopiero tym, którzy są nam zupełnie obcy i spotykają się z nami tylko przypadkowo w obronie podobnych haseł i podobnych przekonań, prowadzonej jednak na innej ziemi, wśród innego społeczeństwa i wprost odmiennych stosunków.

Mówimy o doktorze Luegerze i naszem wobec niego stanowisku. Niezatwierdzenie jego odczuliśmy przedewszystkiem jako błąd polityki hr. Badeniego i ze względu na hr. Badeniego właśnie ubolewaliśmy nad tem jak najgoręcej. Kwestja wiedeńska wytworzona tym krokiem, po za swoim charakterem lokalnym, dotykała także sprawy programu dzisiejszego rządu, jego stosunku do katolickiej w państwie ludności, ważnej wreszcie kwestji samorządu miejskiego. Ze względu właśnie na to wszystko przywiązywaliśmy do niej taką wagę i poświęciliśmy jej tyle miejsca. Nie szło nam naturalnie o osobisty tryumf p. Luegera, jakkolwiek jego zasługi, położone około rozbudzenia odporności katolickiego ludu w Austrji, uznajemy chętnie i do dziś dnia nie możemy zrozumieć, co mogło skłonić hr. Badeniego do wyrządzenia mu osobistej zniewagi podczas pierwszej burmistrzowskiej w parlamencie dyskusji. Ale gdzie wchodzą w grę zasady, tam nie może być mowy o jednostkach i dla tego wzięliśmy od razu za złe p. Luegerowi, kiedy przyjął powtórnie wybór i powodzenie sprawy, swojej własnej osobie poświęcił. W artykule, w którym tę opinję naszą wyraziliśmy, zaznaczyliśmy dobitnie, że nie tylko dobro sprawy, ale nawet rozsądek i rycerskość rozkazywały p. Luegerowi odrzucić mandat, oddany mu ponownie jako dowód zaufania wyborców. Od tej chwili cała kwestja wiedeńska poczęła przybierać wręcz odmienny charakter. Walka o zasady, walka pomiędzy ulegającym liberalnym wpływom gabinetem a ludem rozwijającym sztandar chrześcijańskiej demokracji, poczęła się zmieniać w osobisty pojedynek pomiędzy drem Karolem Luegerem a hr. Kazimierzem Badenim. Wobec tego, że sprawa traciła znaczenie zasadnicze i przechodziła na pole osobiste, usunęliśmy się na stanowisko bezstronnych obserwatorów, nie zapominając ani o naszej narodowej z hr. Badenim wspólności, ani o sympatji, jaką zawsze mamy dla ideji, które stanowią potęgę dra Luegera.

Dr Lueger prowadził pojedynek coraz namiętniej — hr. Badeni odpowiadał ironją, korzystał ze sposobności, aby walce odjąć resztki zasadniczego charakteru, gdzieniegdzie nawet wycofywał się z poprzednich niezręcznych oświadczeń, nie naprawił też popełnionego błędu, ale go przynajmniej nie zaostrzał; trzeba przypomnieć, że dał nawet pewną moralną satysfakcję swemu przeciwnikowi, stwierdzając, że nie chciał jego osobistemu charakterowi w niczem ubliżyć. Tymczasem dr Lueger czując potrzebę rozszerzenia i pogłębienia podstaw, na których się opierał, wpadł na nieszczęśliwą myśl wciągnięcia do swojej walki czynników narodowych. Z jednej strony otoczył nieproszoną opieką interesy i sprawy, których bronić i nad któremi czuwać do nas jedynie należy, z drugiej zaś strony uderzył w narodowość hr. Badeniego, stając na czele jakiejś krucjaty przeciwko wpływowi polskiemu w Austrji i szukając w Rusinach najlepszych do tej krucjaty sprzymierzeńców. Czy wobec tak zmienionej sytuacji, pismo polskie, które się słusznie chlubi, że najszczerzej odzwierciedla usposobienie i przekonania ogółu, może się wahać, po której ma stanąć stronie? Czy nie ma obowiązku powiedzieć p. Luegerowi, że walczy niegodną bronią i że ta jego walka nie ma nic wspólnego z szczytnemi zasadami, za których obrońcę uważaliśmy go dotychczas? Czy mu wolno wtedy milczeć, kiedy p. Lueger szarpie naszą dobrą sławę, stara się rozognić nasze wewnętrzne rany i zawiera przymierze z naszymi wszystkimi wrogami? Czy mu wolno nie oświadczyć wyraźnie, że ilekroć p. Lueger zaczepi narodową naszą godność, zobaczy naprzeciw siebie solidarną falangę całego polskiego narodu, wśród którego nie będzie różnicy przekonań i stronnictw, skoro idzie o odparcie napaści, z jakiejkolwiekby pochodziła strony? Czy mu wolno nie przestrzedz, że taktyka dra Luegera szkodzi w sposób dotkliwy nawet tej dobrej sprawie, z którą związał swoje nazwisko, a która z tego rodzaju fałszywą taktyką nie ma przecież nic wspólnego?

Zdaje nam się, że odpowiedź na te pytania jest jasna i prosta. Nie wahaliśmy się ich postawić tem odważniej i pewniej, że wiemy, iż nie odstępujemy przez to ani na jeden krok od dotychczasowego naszego kierunku. Niech dr Lueger zaniecha tej błędnej i fatalnej drogi, na którą wszedł, a niezawodnie spotka się zawsze z naszemi sympatjami w każdem szlachetnem usiłowaniu około rozwoju i tryumfu chrześcijańskich zasad, chrześcijańskiej moralności i chrześcijańskiej pracy

Głos rolnika przed Sejmem.

Z pod Horyńca w grudniu 1895 r.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Żaden Sejm galicyjski nie miał dotąd tak ułatwionego zadania i programu, przez opinję publiczną tyle utartego a wyrobionego, jak właśnie Sejm na rok 1896. Na przekonanie i wyrobienie tej opinji złożyły się nietylko lat dziesiątki, ale także tych lat trudy, koszta i doświadczenia, które ostatecznie wykazały, że w kraju tak rolniczym, jak nasz — zamiast rolnictwo wszelkiemi siłami podtrzymywać — dotychczas działo się wręcz przeciwnie. Przeto obecnie już najwyższy czas, aby front zmienić i rolnictwu oddać to, co mu się z jego przodującego stanowiska najsłuszniej należy, t. j. zapewnić mu ile możności obok istnienia. także i rozwój. Stanowisko rolników nietylko w Galicji, ale w całej Europie jest dziś ogólnie głośnem ze stanu opłakanego i cały świat rolniczy nad środkami zaradzenia złemu — ciągle przemyśliwa i krząta się — rozmaite stawiając wnioski, wymagające od rządu różnych ulg i postanowień, które nie sposób na tem tu miejscu wszystkie zapisać.

W jedno tylko hasło pozwolimy sobie nasze uwagi ująć, a mianowicie, że na całym świecie wszystkie zgromadzenia i reprezentacje ludów, jednogłośnie w to biją, że w interesie ogółu podtrzymywać trzeba upadające rolnictwo. A są to głosy z krajów, które oprócz rolnictwa mają jeszcze inne źródła i dochody; o tyle zatem więcej obowiązkiem jest Sejmu naszego zająć się rolnictwem w inny sposób i w innych rozmiarach, aniżeli to czyniono dotychczas, bo jak czcigodny poseł, hr. W. Dieduszycki na jednym ze sejmików relacyjnych bardzo słusznie zauważył, nasz Sejm dla rolnictwa dotychczas nic jeszcze nie zrobił, a mowa tu o uchwałach i ustawach nieodzownie potrzebnych i korzystnych. Bo wszakże tego za produktywne dzieła Sejmu uważać nie możemy, jeżeli się czasem po kilkakroć na zapomogi przeznacza, gdyż to jest poprostu czynność manipulacyjna, do której nie potrzeba takiej machiny, jak Sejm, gdyż może ją załatwić jeden dobry radca z pomocą kancelisty i kasjera. Inne czynności i uchwały sejmowe, rolnictwa naszego dotyczące, dadzą się w tak szczupłe ramy ująć, że stały się przysłowiem o chrabąszczach, myszach i piórópuszach dublańskich. W samej rzeczy, taka biedna sprawa rolna, która już 30-letni jubileusz mogłaby obchodzić, zamiast korzyści i ulgi dla rolników, doczekała się tylko skandalu!

Jeżeli rolnicy na całym świecie mogą mówić o swojem nędznem położeniu, upominać się i kołatać, to rolnicy galicyjscy mają do tego powody, dziesięć razy słuszniejsze. Tych bowiem nietylko nękają i duszą takie same ciężary i śruby, jak rolników w innych krajach, ale nadto galicyjscy mają jeszcze i swoje *ad hoc* specjalne udręczenia przez położenie geograficzne. Klimatycznie bowiem jesteśmy najbardziej upośledzeni ze wszystkich austro-węgierskich prowincyj, jako od południowych ciepłych prądów zasłonięci, a na północne zimne wiatry narażeni, wskutek czego notujemy ciągłe klęski i nieurodzaje. Na to chyba ustawa w teorji nie pomoże, ale w praktyce powinnaby okoliczność tę uwzględniać i z innych stron ludność rekompensując, w ten sposób ją zabezpieczać.

Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie, gdyż jesteśmy i w tych kierukach bardziej pokrzywdzeni, niż inne prowincje. Mamy bowiem z jednej strony do czynienia z konkurencją Węgier, który to kraj, przy korzystniejszym od naszego klimacie, a więc przy zapewnionym urodzaju, posiadając nadto tańsze taryfy kolejowe — temi czynnikami produkcję naszą, daleko mizerniejszą i o droższych taryfach, zupełnie zabija. Z drugiej strony mamy Rumunję, a z trzeciej Rosję. Oba te państwa wyrobiły sobie w naszym zarządzie kolejowym przywilej tak niskich taryf przewozowych dla zboża, że nasze produkty o konkurencji przy wywozie nawet marzyć nie mogą, chyba niżej kosztów produkcji. Oprócz tego kraje te mają daleko niższe podatki, ziemię nadzwyczaj urodzajną i plony ogromne, a ponieważ cła są tu niskie, przeto produkta-

mi swojemi zasypują wszystkie nasze młyny parowe, wskutek czego producenci galicyjscy swoje zboże ze wszech stron zdeprecjonowane za bezcen sprzedawać muszą.

Każde 5 miljonów zarobionych na taryfach zboża rumuńskiego albo rosyjskiego, przynoszą rolnikom galicyjskim kilkadziesiąt miljonów straty. Ale u nas nie ma ani niemieckich agrarjuszy, ani młodoczeskich Eimów, przeto upominać się nie ma komu, bo sam ks. Scheicher muru głową nie przebije. Wprawdzie szanowny poseł ks. Kopyciński tę sprawę raz już dawniej poruszał, ostatecznie jednak nie znalazł skutecznego poparcia Koła polskiego, tak samo, jak poseł Czecz poruszył szwindle giełdy zbożowej — również bez echa — które dopiero w uznaniu i światłem zapatrywaniu obecnego ministra rolnictwa hr. Ledebura znalazły należyty odgłos. Ale hr. Ledebur jeszcze w jednym kierunku posłużyć może dla naszych rzeczników za bardzo ważny punkt wyjścia w zapatrywaniu na stosunki rolnicze. Otóż mąż ten z naciskiem zaznaczył, że nie tylko stosunki rolnicze posiadłości mniejszych ale zarówno i posiadłości większych — potrzebują ulg, pomocy i opieki rządowej.

Dla nas okoliczność tą jest o tyle ważniejszą, niż dla innych, że w naszym Sejmie sprawy właścicieli większych traktowane zwykle bywają, jak przez rękawiczki, a jeden z panów posłów powiedział nawet, że są one u nas niepopularne.

Otóż musimy na to zauważyć, że takie powiedzenie i zachowanie się, oznacza małoduszność, gdyż posiadłość mniejsza, czy większa, powinna być na równi traktowana, a to z zasady sprawiedliwości i równych praw dla całego rolnictwa. I owszem za podtrzymaniem posiadłości większych i utrzymaniem w tychże soków żywotnych, każdy człowiek myślący, z otwartą przyłbicą i śmiałem czołem przemawiać winien, a to tem bardziej, im bardziej chce sobie zasłużyć na miano t. zw. „przyjaciela ludu". Wątpić bowiem należy, aby którykolwiek z panów Pałkowiczów znalazł dla ludu lepszą kasę Wertheimowską zaliczkową, meljoracyjną i autygłodową, niż jest nią kasa każdego posiadacza majątku większego, jeżeli faktem jest codziennym i niezaprzeczonym, że tam, gdzie większy wł. prowadzą gospodarstwa intenzywniejsze, w tych wsiach i mniejsi rolnicy są zamożniejsi, a nawet inteligentniejsi, a zaś po dobrach dawniej kameralnych, dziś bez dworów, na każdym kroku w oczy wpada zanik moralny i materjalny, przeto w takim razie zdanie p. posła o rzekomej niepopularności w powyższym kierunku, jest wyrządzeniem szkody najżywotniejszemu interesowi własności mniejszych. Zresztą kwestje rolnicze są tak wielostronnie po różnych zgromadzeniach rozbierane, że w istocie wielkiego potrzeba zastanowienia się i rozwagi, jakich środków zażyć by należało, to bowiem jest pewnem, że tylko przez nawrócenie rozhukanych fal do roli i przez ugruntowanie do niej przywiązania, uspokojenie mas jest możliwem.

Kwestja zatem rolnicza dziś już traktowaną być powinna nietylko ze stanowiska ekonomicznego, ale bardziej jeszcze ze stanowiska politycznego, a im prędzej do tego przyjdzie, tem tańszym kosztem zamierzony cel będzie można osiągnąć. A kto jeszcze tego nie widzi, niechaj, patrzy na Francję, gdzie tak rolnicy, jak przemysłowcy głosowali przeciwko odbyć się mającej wystawie, z rozmaitych bardzo ważnych a słusznych powodów. W końcu przemogły wszakże względy polityczne i ofiarowano na cel wystawy 40 miljonów, wyraźnie deklarując, że rzuca się je dla fal rozhukanych i robi się jeszcze na tem za bezcen dobry interes, rewolucja bowiem miljardy kosztowaćby mogła. Otóż słuszne i uzasadnione niezadowolenie głodnych rolników — kto wie, czy nie byłoby jeszcze straszniejszem, od niezadowolenia spragnionych piwoszów?

Naturalnie, że nie mamy tu na myśli niezadowolenia wzmacnianego i rozszerzanego przez rozmaitych warchołów, którzy prędzej, czy później — w dobrze zrozumianym interesie *pro publico bono* z widowni ustąpić muszą. *K. A.*

NA KUBIE.

Dość już czasu upłynęło od ostatnich uwag naszych, poświęconych powstaniu na Kubie. W ciągu miesięcy jesiennych wojna podjazdowa trwała tam bezustannie, a chociaż Hiszpanie o zwycięstwach wojsk swoich wciąż donosili, świat wiedział, że były to tylko przechwałki, bo w ślad za takiemi biuletynami przychodziły zawsze wieści hiobowe, streszczające się, w słowach: Powstańcy zwyciężyli! W tej chwili musi tam Hiszpanom bardzo źle iść, skoro w Madrycie mówią już o odwołaniu marszałka Martinez de Campos, którego dotąd poczytywano za pierwszego bohatera Hiszpanji i zastąpieniu go innym jenerałem.

Najnowsze depesze takie podają szczegóły o ostatnich ruchach i walkach powstańców:

Dziennik madrycki *Heraldo* otrzymał niewątpliwą wiadomość, że w pobliżu Eienfuegos jenerał Arizon, uderzył na powstańców, którzy tamże byli w większej liczbie zgromadzeni, ale mimo waleczności swoich żołnierzy nie mogli ich pokonać; Hiszpanie mieli wielu zabitych i rannych. Prócz tego powstańcy pod dowództwem Macea wysadzili koło Flora kolejowy most w powietrze, czem utrudnili Hiszpanom komunikację, i jeden pociąg wojskowy zburzyli dynamitem. Ostatni ten wypadek miał spowodować śmierć 37 żołnierzy hiszpańskich.

Powstańcy palą dalej plantacje cukru i pożar rewolucji roznoszą po najdalszych okolicach wyspy. Prócz tego zebrali się w znaczniejszych masach i maszerują do prowincji Mantazar, aby tam nowych zjednać sobie zwolenników. Hiszpanie zaś przeszkodzić temu nie mogą. Widać więc z tego, że na Kubie są oni całkiem bezsilni i cała ich akcja ogranicza się do obrony ważniejszych miast i punktów strategicznych.

Na domiar złego w Hawanie uwięziono 8 robotników za to, że powstańcom sprzedali nabojów za 15.000 dolarów.

Podczas gdy to się dzieje na Kubie, w Madrycie rząd jest wielce zaniepokojony, gdyż nie wie co właściwie czynić. Martinez de Campos był od samego początku zdania, że Kubę dopiero wtedy możnaby uspokoić, gdyby się jej udzieliło obszerną autonomję, ministrowie jednak są temu przeciwni. Zresztą możeby się i zgodzili na to, ale według nich mogłoby to nastąpić dopiero wtedy, gdyby wpierw, wojska hiszpańskie, odniosły choć jedno walne zwycięstwo, aby autonomja miała pozory dobrodziejstwa, tymczasem o zwycięstwo coraz trudniej. I zdaje się nawet, że tego zwycięstwa nigdy nie będzie, gdyż powstańcy prowadząc partyzantkę zręcznie i wytrwale chcą tylko znużyć i w ten sposób zniszczyć armję nieprzyjacielską.

Z KRAJU.

Zaprowadzenie nowych okręgów sanitarnych.

Na zasadzie postanowień ustawy z dnia 2 lutego 1891 roku, wezwał Wydział krajowy wszystkie wydziały powiatowe, w których nie została jeszcze przeprowadzoną organizacja lekarzy okręgowych, ażeby po myśli postanowień ustawy, przedstawiły Wydziałowi krajowemu umotywowane wnioski swoje co do potrzeby utworzenia nowych okręgów sanitarnych. Równocześnie wezwał Wydział krajowy te wydziały powiatowe, w których istnieją już okręgi sanitarne, o złożenie sprawozdania o skutkach działalności lekarzy okręgowych.

Z nadesłanych przez wydziały powiatowe propozycyj, wynikałaby potrzeba aktywowania w 21 powiatach 30 okręgów sanitarnych. Przestrzegając jednak zasady, iż w początkach organizacji okręgów sanitarnych należy przedewszystkiem aktywować tylko po jednym okręgu w powiecie, zwłaszcza, że wiele okręgów, już zorganizowanych, dla braku lekarzy funkcjonować nie może — postanowił Wydział krajowy przedstawić na najbliższej sesji Sejmowi wniosek o utworzenie w roku 1896 w 21 powiatach 21 okręgów sanitarnych. Wydział krajowy domaga się upoważnienia do utworzenia dalszych 21 okręgów w powiatach: Jasło, Grybów, Biała, Żydaczów, Rzeszów, Łańcut, Ropczyce, Trembowla, Złoczów, Brzesko, Buczacz, Chrzanów, Myślenice, Kołomyja, Jarosław, Gródek, Kossów, Staremiasto, Brzozów, Lwów i Tłumacz.

Wydział krajowy sądzi, że dziś niepodobna jeszcze wyrzec stanowczego zdania co do skutków działalności lekarzy okręgowych, gdyż jeszcze za krótko oni istnieją. Opinje wydziałów powiatowych co do wyników działalności lekarzy okręgowych są podzielone. Jedne uważają organizację tę, jako dla naszych gmin jeszcze przedwczesną i mało rokują z niej pożytku; inne wyrażają się o niej z uznaniem, nie wątpiąc o dobroczynnych skutkach, jakie w przyszłości osiągnąć można. Zdaniem Wydziału krajowego, instytucja lekarzy okręgowych, jak każda rzecz nowa, musi przez dłuższy czas funkcjonować, zanim w zupełności przyjąć się zdoła w naszym kraju i korzystną swą działalnością wyrobi sobie uznanie i usprawiedliwi te nadzieje, jakie Sejm, uchwalając ustawę, do niej przywiązywał. Główną przyczyną braku lekarzy dla istniejących okręgów jest, zdaniem Wydziału krajowego, zbyt niska płaca lekarza, wynosząca 500 złr. rocznie, która wprawdzie jako *minimum* przyjętą została w ustawie, ale granicy tej wydziały powiatowe bardzo ściśle się trzymają. Dotąd na ogólną liczbę lekarzy okręgowych, zaledwie kilku pobiera wyższe płace i ci też trzymają się stale na swych posadach. Drugim powodem, iż organizacja okręgów nie rozwija się tak, jakby należało, ma być brak praktyki prywatnej i niekorzystne stosunki miejscowe w okolicach, gdzie one istnieją. Stąd też pochodzą i zbyt częste, a dla służby zdrowia nader szkodliwe przesiedlania się lekarzy z jednego okręgu do drugiego, skoro tylko pozory przemawiają za możliwością osiągnięcia lepszych warunków egzystencji na dokonanej zamianie. Z końcem roku 1895 liczba aktywowanych okręgów sanitarnych wynosi 54, z których 13 nie ma wcale lekarzy.

ZE ŚWIATA.

Wiedeń 17 grudnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Gmina miasta Wiednia nie może się użalać na zły stan finansowy swojej kasy. Zamknięcie rachunków za rok 1894, wykazało dochodów zwyczajnych i nadzwyczajnych 42,941.079 złr., a wydatki wyniosły 40,378.094. Przewyżka więc czysta, wykazuje 2,562.985 złr. Kwota to bardzo pokaźna i nie każda stolica może się pochlubić tak kwitnącym stanem. Dodać tu jeszcze muszę, że Wiedeń na cele naukowe wydaje przeszło 8 miljonów, a w roku bieżącym suma ta będzie jeszcze podniesioną. Utrzymanie bruków i środków komunikacyjnych, pochłania także znaczne pieniądze, ale też przyznać trzeba, że porządek tutaj panuje wzorowy i wszędzie się można spotkać z czystością nieposzlakowaną.

Arcyksiążę Ludwik i jego małżonka, arcyksiężna Marja Teresa, wyjeżdżają na początku lutego do Kairu, celem odwiedzenia swojego syna, arcyksięcia Ferdynanda d'Este. Zabawią tam miesiąc i wrócą dopiero w połowie marca.

Wczoraj, znaczna część deputacji rusińskiej, odjechała do Galicji. Już o godzinie 6 wieczorem, przez dzielnicę Leopoldstadt, przesuwały się gromadki chłopów i księży, pod przewodnictwem studentów i posłańców. O godz. 7 zapakowano chłopów do wagonów trzeciej klasy. Na dworcu ukazali się posłowie: Romańczuk i Teliszewski, celem pożegnania swoich współbraci. Jakiś student miał krótką przemowę. W zgromadzeniu nie widać było żadnego entuzjazmu, a naczelnicy deputacji, mieli dość kwaśne miny. Jeden chłop zapytany, po co przyjechał? — odpowiedział:

— *Czort znaje po szczo! Dali na dorohu, ta i prijechał.*

— Przecież jeździłeś ze skargą na wybory do Sejmu.

— *A meni na szczo wybory? Szczob ja miał pity i isty a bilsze ne hoczu.*

Rozmowa ta aż nadto dosadnie charakteryzuje, że większość deputacji nawet nie miała dokładnego pojęcia, po co ją właściwie wiozą do Wiednia. Prowodyrzy świętojurskiej partji, przerachowali się ogromnie i wracają do domu, okryci nawet śmiesznością.

Towarzystwu „Ochrony szlachty" już z samego początku nieszczególnie się powodzi. W zarządzie zaszły nieporozumienia i dla ich uchylenia zwołano na wczoraj nadzwyczajne posiedzenie. Nie przyszło jednak do żadnych uchwał, bo komisarz policji rozwiązał zgromadzenie, na mocy ustawy o Stowarzyszeniach.

Wczoraj zaszła sprzeczka na Kärtnerstrasse, między pewnym porucznikiem artylerji a inżynierem kolei państwowej. Cywilny, widocznie gorącego usposobienia, podniósł laskę i chciał uderzyć oficera. Ten dobył szabli i ciął kilka razy przeciwnika. Sprawa oparła się o policję i po spisaniu protokołu, odesłano go do komendy placu. W tem nieprzyjemnem spotkaniu, zazdrość odegrała główną rolę, gdyż inżynier utrzymywał, że pan porucznik daleko czulej spogląda na jego żonę, niż na to względy towarzyskie pozwalają. Szczęściem, rany jego są lekkie i nie grożą żadnem niebezpieczeństwem.

Tutejsze dzienniki doniosły, że znany sportsmen węgierski Ternoveanu, zastrzelił się w Peszcie, z powodu utraty całego majątku. Wiadomość okazała się fałszywą, gdyż p. Ternoveanu, nie tylko żyje, ale nigdy nie stał tak dobrze finansowo, niż obecnie.

Swój.

Paryż d. 15 grudnia.

(List oryginalny Głosu Narodu).

Po drugiej stronie Sekwany, w pobliżu dzielnicy łacińskiej, wznosi się wspaniały budynek, na którym napis złocony brzmi — „Instytut francuski". Jest on dziełem pierwszej rewolucji i przynosi jej prawdziwy zaszczyt. Co tylko Francja posiada najznakomitszego, pod względem nauki, talentu i sztuki, zalicza się do jego członków. Ograniczoną jest jednak liczba owych wybranych, bo na fotelach może zasiąść tylko 40 osobistości. Nic więc dziwnego, że panuje ogromna rywalizacja i ludzie często rzeczywiście genjalni, nie zawsze dostępują honoru zasiadania między „nieśmiertelnymi". Zola jest wiecznym kandydatem, Alfons Daudet, wiedząc, że sam nie otrzyma krzesła w Instytucie, ośmieszył go jednym ze swoich romansów. Swoją drogą Instytut stanowi chlubę kraju i chociaż posiedzenia są czasem dość nudne i suche, galerje zawsze przepełnione są publicznością wykwintną, słuchającą z namaszczeniem słów, wypowiedzianych z trybuny.

W ostatni czwartek odbyło się nadzwyczajne zebranie członków Instytutu. Henryk Houssaye, syn słynnego romansopisarza, Arsena Houssaye, miał wypowiedzieć mowę na cześć swego poprzednika, poety Lecomte do Lysle, którego zajął miejsce. Głos jego dźwięczny i metaliczny, rozlegał się po całej sali i wszyscy z wielką uwagą słuchali panegiryku młodego uczonego. Wspomniał o małym apartamencie mistrza muzy, gdzie były porozwieszane fotografje malarskich

arcydzieł włoskich i płaskorzeźby greckie i rzymskie. Następnie opowiedział trudne początki zawodu literackiego Lecomte de Lysle'a. Musiał on walczyć z przeszkodami różnego rodzaju. Poeta nie wiedział jakiej się chwycić drogi. Chciał stworzyć coś nowego i odrzucić wzory starogreckie. Ufundował tygodnik *Varieté* i w nim umieszczał swoje poglądy. Pochodził z wyspy Reunion i gwałtownie powstawał przeciwko karze cielesnej, która tam jeszcze obowiązywała. Kochał się szalenie w pewnej Kreolce, chociaż nie znał jej nazwiska. Ubóstwiał ją z daleka i widywał raz na tydzień w niedzielę, gdy szła do kościoła. Spotkał przypadkiem swoją nieznajomą w czasie spaceru i usłyszał, jak przemawiała do swego służącego-murzyna, grożąc mu karą 25 batów, jeżeli szybko nie spełni jej rozkazu. Wtenczas zbliżył się do powozu i rzekł: „Pani! już cię więcej nie ubóstwiam“. W trzydziestym roku życia nastąpił zupełny zwrot w działalności poety. Pogardzeni Grecy owładnęli jego umysłem i wszystkie dzieła z tego okresu świadczą o bałwochwalczym kulcie dla helenizmu. Dość przytoczyć utwory: „Poezje starożytne“, „Poematy barbarzyńskie“, „Poezje tragiczne“ itd. Mowca zakończył słowami: „Dzieła Lecomte de Lysle'a, równie jak Szekspira, przetrwają wieki. Jest on jednym z największych poetów XIX stulecia i przytaczam tu jego zdanie: Umarli, których opłakujemy, są daleko szczęśliwsi od żyjących. Sentencję tę można wybornie zastosować do poety, którego wielkie zasługi tutaj podniosłem“.

Po Henryku Houssaye przemówił Brunettiere, prezes Instytutu i wspomniał o jego pracach. Jak wiadomo, dzieło Henryka Houssaye, zatytułowane: „Historja 1814 i 1815 roku“, otworzyło mu podwoje Instytutu. Brunettiere rozebrał je krytycznie i chociaż się nie zgadzał w zdaniu co do osoby Napoleona I, przyznał jednak autorowi talent i wielką erudycję. Szanowny prezes widocznie nie jest zwolennikiem bohatera Francji i zarzuca mu wielką pychę. Następnie powiada, że dopiero rok 1814 połączył go ściśle z Francją, bo w chwili upadku pokazał się rzeczywiście wielkim. Na wzgórzach Montmirairail i Champaubert serce jego poznało przywiązanie narodu, ale to było już spóźnionem. Pomimo słów pana Brunettiere, Napoleon pozostanie na zawsze rycerzem legendowym i jego laurom z pewnością nie zaszkodzi filipika prezesa Instytutu.

K. W.

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Józefa Rogosza.

(Dokończenie).

W kilka dni po przyjeździe naszym do Konstantynopola, zaprosił nas do siebie na śniadanie p. Henryk Groppler, krakowianin, krewny Jana Matejki, wielki przedsiębiorca, który na Bosforze utrzymywał kilka okrętów. Mieszkał on w Bebeku, gdzie miał willę uroczą, pełną cacek wschodnich, a także szkiców Jana Matejki, o których kiedyś obszerniej pomówię.

Spędziwszy u niego mile kilka godzin, chcieliśmy już wyruszyć nazad do stolicy, gdy gościnny nasz gospodarz zaproponował nam wycieczkę do Rumeli-Hissar w celu odwidzenia wielkiego wezyra, Veffika-baszy, który tam mieszkał ze swoją rodziną, a którego Groppler znał dobrze.

Propozycja bardzo nam się podobała, niezwłocznie tedy wyruszyliśmy w drogę. Na Bosforze, do którego schodziło się pieszo po stromej drożynie, czekała łódź długa a wązka. W niej zajęliśmy miejsca. Ponieważ trzeba było płynąć przeciw prądowi wody, który tu jest bardzo silny, przeto wioślarze, miasto napróżno wiosłami z falą walczyć, woleli sami iść brzegiem, a łódź naszą ciągnęli sznurami. W ten sposób holowani dostaliśmy się do stóp twierdzy. Odtąd wązka ścieżyna prowadziła nas ku jej szczytom północnym.

Dopiero teraz zauważyłem, że na górze znajdywała się mała wioseczka, pośród której widać było kilka domków okazalszych. Przechodząc koło twierdzy, widziałem wmurowane kolumny, kapitele i inne części budowli greckich. A więc prawdą jest, co mówi historja, że powstała ona ze świątyń azjatyckich. Charakter budowli jest na wskróś bizantyński. Turcy w żadnym dziele sztuki nie stworzyli nic nowego a tylko w szczegółach i drobiazgach bywają czasem oryginalni.

Gdym o tem myślał, pan Groppler zatrzymał się przed drzwiami niewielkiego domu, który do północnego skrzydła twierdzy był jakby przylepiony i zadzwonił. Niezwłocznie ukazał się młody Turek, czarno ubrany, w fezie i w pantoflach. Gdy nasz przewodnik kilka słów z nim zamienił, wprowadził nas do skromnego saloniku na prawo. W sieni spotkaliśmy dwie damy tureckie. Były to córki wezyra; jedna zamężna, druga jeszcze panna. Szły na przechadzkę.

W saloniku nie zabawiliśmy długo. Za kilka minut służący wprowadził nas na pierwsze piętro do gabinetu gospodarza domu, poczem sam się oddalił. Tu nie zastaliśmy nikogo. Umeblowanie gabinetu było nadzwyczaj skromne. Pod ścianami stały otomany, obok nich kilka foteli z poręczami, na których trójkątowa inkrustacja nadzwyczaj misterna, wskazywała ich perskie pochodzenie; pod jedną ścianą widać było duże biurko do pisania, na niem książki i papiery — posadzkę zaścielała rogoża słomiana, mająca połysk i miękość jedwabiu. Robią ją z egipskiej słomy pszennej, a tak jest trwała i misternie pleciona, że się nie psuje nawet w moszeach, choć tam codzień tysiące ludzi po niej chodzi. Lecz trzeba i to wziąć na uwagę, że Turcy nie noszą ciężkiego obuwia. Lekki trzewik, a jeszcze częściej pantofel zastępuje u nich nasze buty.

Że w pantoflach Turcy się kochają, o tem przekonała nas niebawem sama Jego Wysokość Veffik basza, bo za chwilę rozchyliły się drzwi i on się pojawił. Miał na sobie długą opończę z białego jedwabiu, która mu się roztwierała na piersiach, osłoniętych białą koszulą, na nogach pantofle, w ręku trzymał pęk żółtych georgiń. Na głowie nie miał fezu.

Był to już człowiek sędziwy, blisko siedmdziesięcioletni. Włosy miał siwe, takąż brodę, nos mocno zakrzywiony, oczy jeszcze bystre. W jego twarzy malowała się roztropność z przymieszką chytrości. Długie lata był gubernatorem Brussy, potem wielkim wezyrem. Obok tego oddawał się z zamiłowaniem archeologji i literaturze. Językiem francuskim władał dobrze i kilka komedyj Moliera przetłómaczył już na język turecki.

Wszedł lekko, na jedną nogę nieco utykając a ledwie mu nas pan Groppler przedstawił, zwrócił się zaraz do pani Hasfort i rzekł z uśmiechem:

— Przepraszam, żem się trochę spóźnił, ale byłem w ogrodzie. W moim wieku najchętniej przebywa się na wolnem powietrzu. Racz pani przyjąć te kwiaty — dodał, georginje jej podając — jest to nowa ich odmiana, nazwano ją w Wiedniu „Veffik basza“, przynajmniej tyle zostało...

W ostatnich słowach brzmiała skarga. Na to pani Hasfort orzekła, że mąż tak znakomity, jak on, którego sława głośna jest w Europie, niewątpliwie spełni jeszcze nie jedno wielkie dzieło.

Zręczny ten komplement, zgodny ze zwyczajami na Wschodzie przyjętemi, musiał baszy sprawić wielką przyjemność, skoro usiadłszy między nami i to nie po turecku, lecz na sposób europejski, rozmawiał odtąd z wielką swobodą. Zapytania i odpowiedzi, jak tego można się łatwo spodziewać, zwłaszcza żeśmy się znajdowali u wielkiego dygnitarza, były po większej części banalne. Pytał nas jak długo zabawimy w Konstantynopolu, czy nam się miasto podobało, czy „pilaw“ [1]) nam smakował, wspomniał coś o swoich podróżach po Rosji, o wykopaliskach na górze Ararat i o swoich przekładach na język turecki. Przy ostatnich słowach podał panu Spasowiczowi książkę po turecku drukowaną.

— Jaka szkoda — rzekł na to p. Spasowicz — że czcionki nie są łacińskie.

— A tego na co? — basza odparł. — Niech każdy naród strzeże tego, co stanowi jego odrębność.

I okazało się z tych słów, że mimo wielkiego uwielbienia dla Europy i jej cywilizacji, Veffik-basza nie przestał być twardym Turkiem.

Podczas gdyśmy rozmawiali, służący wnosił kolejno czarną kawę, papierosy i sorbety, bez tego bowiem żadne przyjęcie w domu tureckiem obejść się nie może. Przy pożegnaniu, stosownie do zwyczaju wschodniego, każdy otrzymał coś od niego na pamiątkę, a gdy na mnie kolej przyszła, podał mi fajkę, tak zwaną stambułkę i rzekł z uśmiechem:

— Ponieważ pan nie palisz, więc przyjm to na pamiątkę od przyjaciela, który pali.

I na tem kończę dziś moje wspomnienia nie tylko z uroczego Rumeli-Hissar, ale i ze Wschodu.

Jeżeli Bóg pozwoli doczekać, w przyszłym roku będę dalej moją podróż opisywał.

---

[1]) Ryż z baraniną.

K O N I E C.

CICHE ŁZY.

Powieść oryginalna

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy).

II.

Władyś mało się mną zajmował. Pochodziło to prawdopodobnie stąd, że nie mieszkaliśmy razem, co poczytywałam za rzecz naturalną, bo przecie on był chłopcem, a ja dziewczynką. Czasem przybiegł pod oficyny, chwycił mnie bądź w pół, bądź za ręce, okręcił w koło kilka razy i zwykle tąk puszczał, żem na ziemię, jak długa padała. Wtedy śmiał się serdecznie, choć mnie najczęściej w oczach łzy się kręciły. Nie był to zły chłopiec, lecz bardzo pusty.

Jego nieodstępnym towarzyszem był Leoś, syn zamożnego gospodarza ze Staromyśla, który na końcu wsi miał zagrodę dobrze zbudowaną, a dokoła niej czterdzieści morgów pszennej ziemi. Nazywał się Zieliński, a że pochodził ze szlachty chodaczkowej, więc go powszechnie „panem“ Zielińskim nazywano. Nawet mój tatko i ksiądz proboszcz tak go tytułowali, a jedna tylko mama, gdy do niego mówiła, używała trzeciej osoby...

Za to jego syn był dla nas wszystkich tylko Leosiem.

Ojciec posyłał go do szkółki miejscowej, a gdy Leoś skończył ją ze stopniem celującym, odwiózł go sam do gimnazjum, które znajdowało się w najbliższem mieście obwodowem, o pięć mil od Sławomyśla. We dwa lata później (Leoś był starszy od Władysia) brat mój poszedł także do gimnazjum i odtąd już razem do szkół uczęszczali.

Podczas wakacyj Leoś był codziennym gościem w naszym domu. Zawsze bardzo stateczny, ilekroć zobaczył, że Władyś okręca mnie i na ziemię rzuca, przybiegał z obroną, mówiąc:

— Miałbyś rozum, Władku! Przecie to dziecko... może sobie rękę złamać.

Z początku Władyś śmiał się i swoje robił, powoli wszakże zaczął się wystrzegać złego przyzwyczajenia, a w końcu całkiem je zarzucił.

Byłam wdzięczna Leosiowi, alem mu tego niczem nie okazała.

Moje zabawy były niewybredne. Z dziećmi sług, które w oficynach mieszkały, niekiedy także z dziećmi kobiet wiejskich biegałam po sadzie, lepiłam domki, zakładałam ogródki, a już najchętniej robiłam lalki ze szmatek, którym szyłam potem sukienki i kaftaniczki. Poczciwa Warzbińska nauczyła mnie trochę szyć, a że miałam naturę czynną, więc nowe to zajęcie sprawiało mi wielką przyjemność. Ilekroć tedy znalazłam jaką szmatkę, zaraz robiłam z niej nowy strój dla lalki, ku wielkiej uciesze wszystkich moich rówiennic i towarzyszek zabawy, które sztuce władania igłą i memu gustowi nie mogły się dość nadziwić.

I kto wie czy na tej jednej zabawie nie byłby zbiegł cały mój wiek dziecięcy, gdyby nie wypadek, który stanowiąc epokę w mojem życiu ówczesnem, skierował mój wzrok gdzieindziej i nauczył mnie patrzeć na życie ze strony poważniejszej.

Raz, wieczorem, usłyszałam nad stawem pisk niewyraźny. Wiatr dął od łąk, więc chwilami nic nie było słychać, za to, gdy powietrze ucichło, pisk robił się wyraźniejszy i był podobny do miauczenia malutkiego kotka. Zaniepokoiło mnie to wielce. Czułam, że istnieje gdzieś żywe a nieszczęśliwe stworzenie, żebrzące ludzkiej pomocy: słyszałam jego głos, a tylko nie wiedziałam gdzie się znajduje. Może biedactwo leży w sitowiu, do którego przystęp tak był trudny.

Wtem pisk zrobił się głośniejszy i bardziej przeraźliwy. Obejrzałam się czy mama mnie nie widzi, a gdym się co do tego upewniła, nie namyślając się dłużej, puściłam się nad staw. Tu wyraźnie już poznałam głos kocięcia. Szłam za nim, brzeg uważnie badając i tak dostałam się szczęśliwie aż do miejsca, gdzie woda utworzyła niewielką kałużę. Tu, na samym jej środku, błotem całe przykryte, a mając tylko łebek do góry podniesiony, miauczało przeraźliwie malutkie kociatko. Było opuszczone... Prawdopodobnie jakiś człowiek bez serca rzucił je tu umyślnie, ażeby zginęło.

Było jeszcze ślepe, nie mogło mnie zobaczyć, ale kiedym zawołała: kyć! kyć! ucichło i łebek wyżej podniósłszy, słuchało.

Żal niewymowny za serce mnie ścisnął. Nie myśląc o niebezpieczeństwie, jakie mogło mnie spotkać, wbiegłam do kałuży, a chociaż błota miałam po kolana, dostałam się szczęśliwie do opuszczonej istotki.

Z jakąż radością, z jaką dumą biegłam do oficyn z moim skarbem na rękach. Byłam już czemś na świecie, bom ocaliła życie jednemu stworzeniu!

Ale nie poszłam do Warzbińskiej. Starowina miała swoje upodobania i grymasy; małe kocięta nie należały do jej ulubieńców. Aby więc mojej sierotki nie narazić na wygnanie, wdrapałam się po drabinie na strych i tam zrobiwszy miękkie legowisko z kawałków starej kołdry; położyłam mego wychowanka w miejscu zacisznem. Za chwilę przyniosłam mu trochę mleka. Biedactwo nie umiało jeszcze pić. Wtedy przypomniawszy sobie, jak sługi karmiły w stajni odłączone cielęta, włożyłam i ja mały palec do miseczki z mlekiem, przytknęłam pyszczek kotka do palca i zaczęłam go uczyć ssać. Z początku nie szło to dobrze, ale powoli przyzwyczaiło się niebożątko do sztucznego ssania i po kilku dniach karmiło się już wybornie.

Zadowolenie moje potęgowało się, a duma wciąż rosła. Byłam więc użyteczną! Mało sto razy każdego dnia wdrapywałam się na strych i z każdą godziną przywiązywałam się bardziej do mojego skarbu. Słodkiej niespodzianki doznałam onego ranka, kiedy to na szelest mych kroków i na pierwsze wołanie: kyć! kyć! sierota zerwała się z posłania i z ogonkiem w górę zadartym zaczęła biedz na moje spotkanie.

Chwyciłam ją na ręce, podniosłam do światła, biedactwo już widziało.

Chwili tej nie byłabym oddała za żadne skarby świata!

Gdy kotek podrósł, zaniosłam go ostrożnie do Warzbińskiej i pod pieczęcią tajemnicy opowiedziałam historją jego żywota. Myślałam, że starowina rozgniewa się, może mnie nawet wyłaje, alem się [illegible]. W milczeniu wysłuchała krótkiej opowia-

ści, przyczem głową potrząsała, a kiedym skończyła, wzięła moją głowę w swoje chude ręce i w czoło mnie pocałowała.

Spojrzałam na nią. Była wzruszona i miała łzy w oczach.

Czemu ona płakała?

Niedługo potem tatuś zobaczył, jak z kotkiem na ręku stałam we drzwiach od oficyn. Przystąpił, pogłaskał mnie po głowie i zapytał, skąd go wzięłam. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć — wielki strach zdjął mnie na samą myśl, że tatuś mógłby wszystko mamie powtórzyć — lecz wypadek tak zrządził, że nadeszła Warzbińska i ta usłyszawszy o co mnie tatko pytał, opowiedziała mu prawdę rzetelną. Tatko słowa nie mówił, tylko głowę moją podniósł i czas jakiś uważnie mi się przypatrywał.

Potem westchnął, w czoło mnie pocałował i odszedł.

W kilka dni tatuś wyjechał na jarmark do miasta, gdy wrócił, przyszedł zaraz do oficyn, posadził mnie na kolana, raz i drugi pocałował i w te słowa przemówił:

— Ponieważ zaopiekowałaś się biednem stworzeniem, więc tatuś przywiózł ci coś takiego, co ci pewnie przyjemność sprawi.

To powiedziawszy, wyjął z kieszeni malutką laleczkę.

Boże! jaka ona była śliczna! Buzię miała rumianą, uśmiechniętą; na głowie jasne włoski z długim warkoczem w tyle, które przykrywał kapelusik niebieski, fantastycznie upięty; kształtną jej kibić osłaniała sukienka z niebieskiego jedwabiu, bogatemi koronkami obszyta; zgrabne buciki z lakierowanej skórki opinały nóżki malutkie. Laleczka nie była duża, ledwie tyla, co nożyczki Warzbińskiej, ale jaka śliczna! Oczęta miała takie wyraziste, roztropne, że gdym do niej mówiła, zdawało się, że wszystko rozumiała.

Kiedym lalkę pokazała Warzbińskiej, ta uważnie ją obejrzawszy, rzekła:

— Bardzo ładna, lecz uważaj, moje dziecię, żebyś jej nie stłukła, bo ona z porcelany.

Mniejsza o to, z czego była... Dla mnie, obok kotka. była to druga istota mojej pieczy powierzona, którą miałam karmić, ubierać, kochać! I kochałam ją tak gorąco, tak całą duszą, że rozstanie się z nią, choćby chwilowe tylko, równało się najwyższej męczarni. Odtąd objady i wieczerze były dla mnie istną torturą, a najprzyjemniejszemi owe chwile, którem spędzała u Warzbińskiej z moją laleczką na kolanach. Nazwałam ją Dzidzi, a musiała być zadowolona z tego imienia, skoro się do mnie wciąż uśmiechała.

Codzień rano myłam ją uważnie, przebierałam, czesałam, o ile to zresztą było możliwe, wieczorem zaś kładłam ją obok siebie do łóżka. W nogach spał kotek. Oboje byli bardzo grzeczni.

Raz, gdym Dzidzi pokazywała dokoła mnie licznie zebranej rzeszy rówienniczek, które nie mogły jej się dość nachwalić, usłyszałam suchy głos za sobą:

— Co to za lalka?

Chciałam ją ukryć, lecz nie było na to czasu.

— Daj mi ją!

Serce uderzyło mi w piersi gwałtownie, jakby wybiła ostatnia moja godzina. Wahałam się jeszcze, lecz głos mamy zrobił się bardziej suchy i bardziej stanowczy:

— Kazia! Czy zawsze będziesz krnąbrną? Daj lalkę, skoro każę!

Podałam ją, równocześnie jednak zasłoniłam sobie twarz rękami, by nie widzieć, co się z nią stanie.

— Od kogo ją masz? — mama zapytała.

— Odemnie, Julciu, odemnie — dał się słyszeć głos tatki, który szczęśliwie przyszedł mi na pomoc. — Biedne dziecko nie miało dotąd żadnej zabawki.

— I mnie ich nigdy nie dawano, a przecie szczęśliwie się wychowałam — mama na to odparła. — Ręczę, że to głupstwo kosztowało cię dużo, a ona ją za kilka dni popsuje. Tymczasem dla Władysia nie mam na rękawiczki, powinieneś zaś wiedzieć, że to nie ładnie, gdy Walęcki pokazuje się z gołemi rękami. Zresztą, jeśli kogo to dziewcząt nie trzeba psuć za młodu, bo Pan Bóg stworzył je do pracy i walki nie na zabawę. Życie to nie drobnostka, ani romans wesoły! Im mniej upodobań i zachcianek ma kobieta, tem dla niej lepiej.

— Ależ lalka to drobnostka — tatko perswadował. — Lalka jeszcze nikogo nie popsuła. Oddaj jej, Julciu, laleczkę, oddaj, i chodź, bo chcę ci coś powiedzieć.

Mama rzuciła mi Dzidzi i odeszła z tatkiem.

Miałam cię więc znów, o ty mój skarbie naj droższy!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Część urzędowa.

Przeniesienie. Dyrekcja poczt i telegrafów przeniosła kontrolora pocztowego Andrzeja Jakubowskiego z Krakowa do Przemyśla.

KRONIKA.

Kraków, 19 grudnia.

Kalendarz kościelny. Dziś, we czwartek, św. Faustyna i Nemezjusza męczennika, jutro Suchydzień, Teofila męczennika, pojutrze Suchydzień, św. Tomasza apostoła.

Kalendarz rybacki. W grudniu wolno łowić wszelkie ryby jak: bolenie, lipienie (głowacze), świnki, wyrozuby, czopy, sandacze, łososie, pstrągi, brzanki, brzany i cytry; leszcze, węgorze, czeczugi, klonki, jazie i szczupaki.

Ochraniać należy: raka tak samca jak i samicę.

Kalendarz myśliwski. W grudniu wolno polować na je, enie, kozły (rogacze), zające, borsuki, lisy, jarząbki, słomki cietrzewie i głuszce, bażanty, kuropatwy, dropie, pardwy oraz na ptactwo błotne i wodne w ogólności.

Ochraniać należy: łanie, kozy, koźlęta i szpiczaki, przepiórki, dzikie gołębiekury, , oraz głuszce i cietrzewie.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczyna się dziś o godzinie 7 minut 36, zachód przypada o godzinie 3 minut 37; długość dnia godzin 8 minut 1.

Temperatura dziś rano wynosi 0.

Kupujcie tylko u chrześcijan!

Pamiętajmy o gimnazjum polskiem w Cieszynie!

Od Wydawnictwa.

Ponieważ rok właśnie się kończy, prosimy tedy uprzejmie, aby szanowni Czytelnicy zechcieli spieszyć się z wysyłką prenumeraty, nakład bowiem naszego pisma regulujemy ściśle do liczby abonentów, zapasów nie robimy żadnych i każdego miesiąca wszystkie egzemplarze są *„Głosu Narodu«* zawsze wyczerpane. Ci zatem, którzyby się późno zgłosili, mogliby zastać numera wstecz wyczerpane.

Prenumerata wynosi:

W Krakowie:			Na prowincji:		
Rocznie . . .	16·—	złr.	Rocznie . . .	20·—	złr.
Półrocznie . .	8·—	„	Półrocznie . .	10·—	„
Kwartalnie . .	4·—	„	Kwartalnie . .	5·—	„
Miesięcznie . .	1·35	„	Miesięcznie . .	1·70	„

Mody paryskie kwartalnie 40 centów.

Wszyscy nowo przystępujący abonenci otrzymają początek, t. j. cały I. tom wychodzącej w naszym dodatku powieści „Mała księżniczka“ bezpłatnie.

Administracja „Działu Inseratowego“ naszego pisma przyjmować będzie od N. Roku 1896 od naszych Prenumeratorów **bezpłatnie** wszelkie ogłoszenia, dotyczące sprzedaży, kupna, zamiany i parcelacji dóbr ziemskich, oraz sprzedaży i kupna realności miejskich, jak niemniej wynajmu wszelkich mieszkań.

W sprawie tramwaju. Otrzymaliśmy pismo następujące z prośbą o umieszczenie: Magistrat podaje do wiadomości stron interesowanych, że wysokie Namiestnictwo rozporządzeniem z dnia 8 grudnia 1895 L. 100366 wyznaczyło termin do przeprowadzenia politycznej reambulacji projektu linji tramwajowej przedłożonego przez Towarzystwo tramwajowe z Rynku gł. przez ulicę Szewską i Karmelicką do Parku krakowskiego na dzień 28 grudnia 1895, godzinę w pół do 3 po południu i poruczyło Wnemu radcy Namiestnictwa Leopoldowi Morawetzowi kierownictwo w tej komisji, która się w oznaczonym dniu i godzinie zbierze na dworcu w Krakowie, w sali I klasy.

Plan, mający służyć za podstawę dochodzenia komisyjnego, będzie stosownie do postanowień § 3, względnie § 18 rozporządzenia minist. z dnia 25 stycznia 1879 (Dz. u. p. Nr. 19) wyłożony do przejrzenia dla ogółu w budownictwie miejskiem codziennie między godziną 11 a 2 przez dni 8 i tamże mogą strony interesowane wnosić na piśmie zarzuty.

Kraków dnia 17 grudnia 1895.

J. Friedlein.

Dyrekcja teatru, pragnąc swoim artystom dać możność zapoznania się, z tyle wsławioną grą p. Coquelina i jego artystów, zarezerwowała na sobotnie przedstawienie cały balkon I piętra.

Dziś w teatrze popularne przedstawienie. Artyści odegrają Żegoty Krzywdzica „Odgrzewaną miłość“. Jutro teatr zamknięty z powodu jeneralnej próby ze „Szklannej góry“ Sarneckiego.

Na charakterystycznem tle przesądów i ciemnoty ludu naszego, odbyła się wczoraj rozprawa w tutejszym sądzie karnym. Na ławie oskarżonych zasiadło 11 wieśniaków z Olszanicy. Treścią rozprawy było zabobonne znęcanie się oskarżonych nad zwłokami samobójcy Tomasza Giby. O sprawie tej, ze wszech miar ciekawej i pouczającej, zamieścimy szersze sprawozdanie, dziś jednak dla braku miejsca, musimy je odłożyć, zaznaczając na razie, że trybunał skazał 6 obwinionych na 3—7 dni aresztu, pięciu zaś uwolnił.

Dr Merunowicz, protomedyk, wyjechał do Wiednia jako delegat Namiestnictwa do ankiety w sprawie zamierzonej reformy studjów medycznych, której obrady będą się toczyły w tym tygodniu w ministerstwie oświaty.

Godność podkomorzego nadał cesarz właścicielowi dóbr, porucznikowi w ewidencji lwowskiego pułku obrony krajowej nr 19, Wiktorowi Aleksandrowi z Lubowicza Treterowi.

Stan majatkowy fundacyj. Stan funduszów naukowych, dobroczynnych i pomnikowych, pozostających pod zarządem Wydziału krajowego, wynosił z końcem października sumę 2,688.272 złr. 73 ct. Gdy z końcem października 1894 r. wynosił stan tych funduszów 2,640.310 złr. 47 ct., przeto w porównaniu z r. 1894 okazuje się w b. r. zwiększenie majątku o 47.962 złr. 26 ct. Prócz wykazanego stanu majątkowego fundacyj dobroczynnych, naukowych i pomnikowych w sumie 2,688.272 złr. 73 ct., posiada Wydział krajowy w swym zarządzie majątki stypendyjne, których stan z końcem października 1895 r. wynosił 4,203,882 złr. $64^1/_2$ ct. Ogólny zatem stan majątkowy wszystkich fundacyj wynosił z końcem października 1895 r. sumę 6,892.155 złr. $37^1/_2$ ct., a w porównaniu z r. 1894 zwiększył się o sumę 226.429 złr. 51 ct.

Były pomocnik Apuchtina, niejaki Sidorski, który obecnie pełnił obowiązki dyrektora kancelarji oberprokuratora synodu Pobiedenoscewa, zmarł w tych dniach nagle, w powiecie bałgorajskim.

Pociąg błyskawiczny wiedeński, który przychodzi do Krakowa wpół do 3 po południu, spóźnił się dziś o 40 minut, a to wskutek wypadku, który miał się wydarzyć koło Wiednia i porwał wiele ofiar.

Wiedeńskie biuro korespondencyjne donosi następujące szczegóły:

„Na stacji kolei północnej wykoleiła się wczoraj lokomytywa wraz z siedmiu wagonami pociągu towarowego. Maszynista, prowadzący pociąg, zabity. Główny tor wskutek wypadku zamknięty. Ruch utrzymany w ten sposób, że podróżni przesiadają się do innego pociągu“.

Z Uniwersytetu. P. Jerzy Poray Madeyski, rodem z Liszek, praktykant konceptowy namiestnictwa Dolnej Austrji, otrzymał w dniu dzisiejszym na tutejszym Uniwersytecie stopień doktora praw.

Krakowskie Towarzystwo rolnicze, z okazji 50-letniego swego jubileuszu, urządza w maju r. p. wystawę inwentarzy rolniczych.

Komisja teatralna na posiedzeniu w dniu 17 bm. przyjęła do wiadomości przedłożony repertoar na miesiąc styczeń 1896 r., oraz zatwierdziła podniesienie cen na przedstawienia francuskiej trupy Ernesta Coquelina.

Choinka. W nadchodzącą sobotę, t. j. 21 b. m., urządzoną będzie w sali Saskiej, na dochód bezpłatnych wypożyczalni książek w Krakowie — uroczysta „Choinka“. Obok jednego wspaniałego drzewka, przystrojonego w błyszczące ozdoby i świeczki, znajdować się będzie sześć mniejszych, również przystrojonych, które zebrana publiczność drogą licytacji nabyć będzie mogła. Dla dziatwy pod drzewkami przygotowane będą drobiazgi do rozlosowania. Chór wyuczonych dzieci w danej chwili odśpiewa kolędy, a uproszony przez zarząd wypożyczalni artysta sceny naszej, p. Ryger, wypowie łaskawie śliczną, a w obecnie wydawanych zbiorkach niedrukowaną jeszcze powiastkę Jachowicza o „Narodzeniu Pańskiem“. W celu uniknięcia natłoku, jaki panował w sali podczas św. Mikołaja, komitet urządzający „Choinkę“, zarezerwował dla publiczności drugą salę, przytykającą do sali głównej.

Bankiet pożegnalny. Wczoraj, we wtorek, w Grand-Hotelu, w ścisłem kółku dyrektorów instytucyj bankowych i reprezentantów świata handlowego, odbyła się pożegnalna uczta na cześć p. Ludwika Scholza, dotychczasowego dyrektora filji Banku austro-węgierskiego. Pierwszy toast wniósł dyrektor miejskiej Kasy oszczędności, p. Slęk, zaznaczając obywatelskie zasługi p. Scholza w ciągu 13-letniego urzędowania w naszem mieście, objawiając przytem zadowolenie, iż p. Scholz pozostaje w kraju. Następnie senior obywatelstwa miejskiego, p. Konrad Wenzel wzniósł toast na cześć rodziny p. Scholza. Na oba te przemówienia odpowiedział p. Scholz, dziękując za słowa uznania. P. Scholz wyjeżdża na nowe stanowisko do Lwowa z końcem b. m.

Składka. Zamiast rozsyłania biletów z powinszowaniem Nowego Roku, pp. Henryk Bukowski z Stokholmu i p. Władysławowa Harajewiczowa złożyli na Towarz. Szkoły ludowej po 5 złr., którą to kwotę wręczyliśmy pani Ulanowskiej.

Dr Edwin Płażek, radca galicyjskiego namiestnictwa przydzielony do ministerstwa oświaty, ma być mianowany radcą dworu w temże ministerswie.

Do Tow. dziennikarzy polskich przystąpił Jakób hr. Potocki, właściciel Brzeżan, jako członek wspierający.

Cholera we Lwowie? Przed paru dniami zamieściliśmy pod powyższym tytulikiem wiadomość o nagłem zasłabnięciu i śmierci niejakiego Rewena Spinrada. Obecnie otrzymujemy z fizykatu miejskiego lwowskiego wyjaśnienie, że sekcja zwłok i bakterjologiczne zbadanie wykluczyły stanowczo cholerę, jako przyczynę nagłej śmierci Rewena Spinrada.

Ze Lwowa piszą do nas dnia 17 b. m. Intabulacja 10-miljonowej pożyczki miejskiej na dobrach Zubrza, wczoraj przez Radę miejską uchwaloną została. Na temże samem posiedzeniu przyjęto nagły wniosek prof. Zacharjewicza w sprawie nowego dworca kolejowego. Według zatwierdzonych przez jeneralną Dyrekcję kolei planów, nowy dworzec nie odpowiada interesom gminy, a publiczność nie znajdzie nawet wygody. Gmina domagała się wybudowania wielkiej krytej hali, a to celem umożliwienia podróżującej publiczności wygodnego dostania się do każdego pociągu (tak, jak jest na wszystkich większych stacjach zagranicą).

Projekt przebudowy dworca nie proponuje budowy takiej hali, dlatego też profesor Zacharjewicz wnosił, aby dzisiaj prezydjum wysłało do jeneralnej Dyrekcji stosowne memorandum z żądaniem budowy wspomnianej hali.

Z Wieliczki otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o zamieszczenie: W dniu 8 grudnia b. r. w *Głosie Narodu* była recenzja popisu uczennic p. Machowej. Recenzja ta robi wrażenie. jak gdyby była już przed popisem lub czysto z osobistych pobudek napisaną. Po pierwsze, iż kompozycyj autorów jak Lebert i Stark nie było w programie, zatem nie można żądać, aby pragnienia tych autorów były zadowolone. Słyszeliśmy natomiast Clementiego Sonatę (B-dur) na 2 fortepiany, Bethovena Sonatę (F-mol) solo i Mozarta (A-dur) i wiele innych utworów — wszystkie wykonane były z pięknem odcieniem, z dokładną znajomością form muzycznych i piękną techniką. Na zakończenie poprawnie odegrały cztery uczennice na 2 fortepianach „Vals Improptu Raffa“.

Musimy również nadmienić, że nie był to „koncert“, tylko „popis“, na którem grały nie koncertantki, lecz uczennice, względnie dzieci, które bez wątpienia pod starannem i umiejętnem kierunkiem p. Machowej dojdą nawet do gry estradowej. Wstęp na popis był dlatego płatny, że koszta urządzenia były znaczne.

(Następują podpisy rodziców uczennic pani Machowej.)

Z Grybowa piszą do nas: W dniu 14 b. m. odbyło się u nas posiedzenie Rady powiatowej, na którem między innemi preliminowano budżet na rok 1896. Przy pozycji „nadzwyczajne wydatki“ wniósł referent wydziału, znając bardzo skromne fundusze powiatu grybowskiego, ażeby na odrestaurowanie katedry na Wawelu przynajmniej 25 złr. przeznaczyć. Pomiędzy inteligencją powstał cichy szmer, że mało, wtem prosi o głos przewodniczącego p. Wojciech Poremba, włościanin z Cieniawy i oświadcza, że na taką świątynię, gdzie spoczywają zwłoki świętego Stanisława, gdzie się mieszczą groby naszych wielkich królów, należy większą kwotę przeznaczyć, a to co najmniej 50 złr. przez lat 5, t. j. kwotę 250 złr. Wniosek ten jednogłośnie uchwalono, a wnioskodawcy serdecznie dziękowano za piękną i szlachetną myśl.

Nadmienić musimy, że w grybowskiej Radzie powiatowej zasiada kilku ruskich włościan, którzy również za wnioskiem p. Poremby głosowali.

Do podzięki, wyrażonej p. Porembie przez zebranych, nie wątpimy, że dołączy się każde polskie, uczciwe serce. Solidarność radnych ruskich godną jest podniesienia. Echo ich zacnych głosów w całym kraju zrobi jak najlepsze wrażenie.

Z Mikuliniec piszą do nas: Zawiązało się tu Towarzystwo zaliczkowe dla spieszenia z pomocą tanim kredytem biednej ludności włościańskiej, wśród której szerzy się ogromnie gorączka emigracyjna, względnie, aby nie dozwolić, by grunta, które emigranci za bezcen sprzedają, przechodziły w ręce żydowskie. Do założenia Towarzystwa przyczynili się najbardziej pp. Mieczysław hr. Rey i Aleksander Piniński. Nowemu i zacnemu Towarzystwu przesyłamy „Szczęść Boże“.

W „Gazecie przemyskiej“ czytamy: Pałac dla gr. kat. biskupa w Przemyślu, który stanie w roku przyszłym na placu przy ulicy Śnigórskiego, będzie imponującym i wzbogaci miasto o jeden okazały gmach. — Budynek główny, o czterech frontach, trzymany jest w czystym stylu odrodzenia, wszystkie fasady odznacza bogata ornamentacja. Klatka schodowa wznosi się do wysokości pierwszego piętra, z niej wybiegają schody w dwóch ramieniach. Klatkę schodową upiększają ozdoby plastycznie występujące. Z fasady południowej, zwróconej ku cerkwi, występuje loggia o rysunku lekkim. Terasa szeroka dzieli pałac od oficyn; tam pomieszczono pokoje dla służby, wozownie i stajnie. Oficyny przytykają do ulicy Władycze Górne. Budowę pałacu oddano spółce budowniczej Damaszko i Meissner.

Z Jasła piszą do nas dnia 17 grudnia: Zwrotem ku lepszemu nazwać należy, zwłaszcza w mieście prowincjonalnem, rozwój życia towarzyskiego, to też objaw ten, ujawniający się w ostatnich czasach w naszem mieście, zajmie niezawodnie i ogół czytelników. Z chlubą podnieść należy, że całą zasługą tego cennego objawu jest nasz „Sokół“, który niezrażony dawnemi niepowodzeniami, pracował cicho, lecz wytrwale tak długo, aż pozyskał zaufanie szerszego ogółu, tak iż niejeden z dawnych antagonistów dziś przedzierżgnął się w szczerego zwolennika. Z każdym dniem zwiększają się szeregi druhów, a każda sprawa uczciwie podjęta znajduje powodzenie. To też wydział „Sokoła“ nie omija sposobności, by, stojąc na straży pamiątek narodowych, pokrzepiać ducha narodowego, pobudzać zapał patrjotyczny. Ziarno zdrowe przyimuje się. Gdy dawniej nabożeństwa, w pamiętne rocznice urządzane, świeciły pustkami, obecnie nawidzane są licznie. A mieliśmy w ostatnich czasach dwa takie nabożeństwa: 24 października w 100-letnią rocznicę podpisania aktu ostatniego rozbioru Polski, a zaś 29 listopada za poległych w walce o niepodległość Polski bohaterów z r. 1831.

Na samych jednak nabożeństwach „Sokół“ nie poprzestaje. Urządza i uroczyste wieczorki. Rocznicę powstania Listopadowego święcił 30 z. m., a pamięć nieśmiertelnego wieszcza Adama 14 grudnia b. r. Oba te wieczory zaszczycił swym współudziałem chór „Sokoła“ z Grybowa, który złożony z dziesięciu wybitnych śpiewaków tak dzielnie się spisywał, że zasłużonym oklaskom nie było końca. Gotowość tych zacnych druhów, którzy, nie licząc się z trudami podróży, bezinteresownie, tylko dla idei, dwukrotnie podążyli do nas, by uświetnić nasze obchody, zasługuje na publiczne uznanie, co niechaj przyjmą do wiadomości na tem miejscu. W drugiej linji należy się podzięka paniom, które wolne od małomiejskich przywarów chętnie żywy biorą udział w naszych obchodach i zawsze z zadania swego wywiązują się chwalebnie. Wreszcie i dzielni nasi druhowie popisują się gracko: muzyką, deklamacją i grą w komedyjkach, które zwyczajnie wplatane bywają do programu. Wieczór listopadowy zagaił druh prof. Lach. pięknem, wyczerpującem przemówieniem, wieczorek Mickiewicza druh prof. Fr. nader urozmaiconym odczytem. W obrazku dramatycznym „Na poddaszu“ Urbańskiego amatorki pp. Rz. i Zaj., pierwsza rolę Marty, druga rolę Joanny oddały z precyzją — a druhowie Sienk. jako Stanisław i Brod. jako Michaś, dzielnie im wtórowali.

W program wieczorku Mickiewiczowskiego wplecioną była komedyjka Blizińskiego p. t. „Dzika różyczka“ — i jakkolwiek wszystkie występujące w tej sztuce osoby grały dobrze, podnieść wypada szczególnie dobrą grę druha Bochn. w interpretacji roli Radomira i chlubne wywiązanie się z ról pp. Pank. jako Radomirowej i Rózi.

Prośba. W dniu 10-go sierpnia r. b. zmarła na polach Jaworznia śmiercią nagłą ś. p. Konstancja Grzybkowa, której właściwej przyczyny wskutek braku świadków wcale stwierdzić nie można. Podpisany, jako bliski krewny pozostałego męża oraz w imieniu trojga drobnych dziatek nieboszczki, zwraca się niniejszem do osób, mogących w czemkolwiek przyczynić się swemi zeznaniami przed sądem do wyświetlenia prawdy z prośbą, aby zechciały w danym razie zgłosić się do podpisanego, który przyrzeka ile możności być wdzięcznym za to, a zaś na życzenie zachować co do nazwiska ścisłą tajemnicę. *Stanisław Grzybek* w Jaworznie.

W Toruniu przebił się 20-letni Papiesz swą 18-letnią siostrę za to, że dała mu za mały kawałek mięsa. Stan jej jest beznadziejny. Morderca uciekł i prawdopodobnie przekroczył granicę rosyjską.

Z Tylży piszą: Jak okropny sposób wyzyskują agenci rosyjscy biednych wychodźców, dowodzi następujący wypadek, jaki zaszedł w tych dniach. Pewna dziewczyna z gubernji kowieńskiej złożyła sobie nieco pieniędzy i zamierzała udać się do swych krewnych do Ameryki. Jeden z agentów rosyjskich podjął się przeprowadzić ową dziewczynę za wynagrodzeniem przez granicę i przyrzekł jej wystarać się o papiery i kartę okrętową. Dziewczyna zaufała agentowi i rzeczywiście przebyli szczęśliwie granicę, jakie jednak było jej zdziwienie, gdy ten zażądał od niej dalszych pieniędzy; wahała się długo, coby począć, agent jednak pięknemi słówkami potrafił tak zbałamucić dziewczynę, że oddała mu całą kwotę, jaką miała przy sobie w ilości 110 rubli. Teraz pod pozrem, że udaje się po papiery i kartę okrętową, oddalił się od dziewczyny i więcej już nie wrócił. Można sobie wyobrązić położenie, w jakim biedaczka się znajdowała; nie mając ani grosza, zniewoloną była szukać przytułku wśród tutejszych mieszkańców, którego jej też miłosierni ludzie nie poskąpili i wysłali ją następnie do domu.

Nowa sensacja. Warszawa musi co roku wynaleść sobie coś, coby ją nowością nęciło. W ten sposób powstało *corso* kwiatowe po wyścigach, w ten sposób powstały bale czerwone, zielone, niebieskie, białe, w ten sposób powstał „Zwierzyniec“, w którym dla zabawy Warszawian marzły i zdychały ze zimna lwy, tygrysy, lamparty; w tym roku Warszawa w myśl projektu dra Tchórznickiego, pragnie urządzić „wystawę dzieci“. Tak jest, wystawę, tak samo, jak się urządza wystawę wołów, koni, narzędzi rolniczych, wyrobów przemysłu krajowego i t. p.

W tym celu zebrało się przedwczoraj kilku doktorów medycyny i uradziło, aby wystawę w czasie letnim doprowadzić do skutku. Myśleliśmy, że to tylko specjalność Krakowa, powoływać do jury ludzi najmniej na danej rzeczy rozumiejących się, przekonaliśmy się, że i Warszawa tę własność posiada. Cóż na tę uchwałę lekarzy powiedzą pedagodzy i rodzice?

Na morzu. W dniu 28 z. m. z szybkością błyskawicy po Geniczesku i pobrzeżu okolicznem, rozniosła się wieść o zaginieniu na morzu Czarnem mnóstwa ludzi. Z brzegu ujrzano, wywieszone stamtąd, na odległości 5 wiorst flagi czarne, wzywające pomocy, nikt jednak dotąd nie wiedział szczegółów, lecz domyślano się, że na morzu rozgrywa się dramat, kosztem licznych ofiar w ludziach. Wiadomem było, że udało się na morze mnóstwo ludzi, ładować zboże na 3 statki, stojące na kotwicy, a które lody zaparły. Jak im pomódz? W tłumie mówiono, że przed kilku dniami wypłynęło 20 barkasów i łodzi z ludźmi, rzeczywistej jednak liczby nieszczęśliwych nikt nie wiedział.

Przez kilka dni szalejąca burza przepędziła do brzegu masę drobnej kry, która obręczą otoczyła barkasy i łodzie w których znajdowało się 102 ludzi.

Nieszczęśliwych czekała śmierć z głodu i chłodu, na otchłani morskiej, ponieważ wszystkie sygnały, wzywające pomocy były daremnemi.

Dopiero po dwóch dniach od chwili wyrzucenia flag, władza hygjeniczno-policyjna zawiadomiła o powyższem naczelnika policji powiatowej, który przybył dnia 30 listopada do Geniczeska i znalazł najzupełniejsze zaniedbanie i bezczynność wszystkich i każdego. Przez dwa dni widniały flagi, przez dwie doby umierali ludzie, oczekując jakiejbądź pomocy, lecz brakło ludzi odważnych, którzyby się ośmielili wypłynąć na morze.

Wice konsul grecki polecił telegraficznie, aby z Kierczu podążył statek „Elżbieta“, który przybywszy na miejsce, zajął się odprowadzeniem od statkow bark, lecz dopłynąć do zapartych lodem łodzi, na których znajdowali się ludzie, przechodziło ludzką możliwość. Wówczas wynajęto za rs. 600 stowarzyszenie robotników, którzy mieli zająć się przerżnięciem lodu. Pieniądze zaraz wypłacono, zaraz też rozpoczęto roboty. które ciągnęły się dwa dni. Była to walka ludzi z żywiołem, a tymczasem jeszcze 48 godzin nieszczęśliwi męczyli się na morzu. Wreszcie lód przerąbano na całej przestrzeni, lecz skutkiem ujść rzecznych dostęp do łodzi z ginącemi był niemożebny. Postanowiono dokonać jeszcze jednej próby — obejść krę z drugiej strony, o 10 wiorst od Geniczeska, w pobliżu wsi Juzkni.

Dwóch szyprów śmiałych, Atanazy Bułowin i Aleksy Kałaszurkow odważyli się na krok nader śmiały, z narażeniem życia własnego.

Udali się oni na barce, zabrawszy ze sobą węgiel i pożywienie, na ratunek zagrożonym i po długich trudach, dosięgli nieszczęśliwych, których było 103, a których wyprowadzali na brzeg po kilku. Bolesny był to widok. Przemokli, opuchnięci, zsiniali z zimna, wynędzniali, osłabieni, ze łzami w oczach dziękowali za wszystko, co zrobiono dla nich, aby uratować od śmierci nieuniknionej.

Szczegóły tego dramatu podaje *Krymskij Wiestnik*.

Dom Joanny d'Arc w Orleanie, w którym ona rzeczywiście mieszkała, noszący znamiona wieku XIV i posiadający znaczną wartość artystyczną, został na sprzedaż wystawiony. Prasa francuska żąda, aby państwo, albo miasto dom ten nabyło i jako pamiątkę narodową utrzymywało.

Reklama paryska. W wielkich miastach, jak wiadomo, zaofiarowanie towarów lub usług przeciętnie jest większe, aniżeli ich zapotrzebowanie. W tych ogniskach życia ludzkiego zbiega się wszystko, co pracuje, tworzy, produkuje. Konkurenci rosną niby grzyby po deszczu. Mieszkaniec wielkiego miasta, nie zna owej stałości, ktora patrjarchalnego mieszkańca małomiasteczkowego łączy z raz obranym dostawcą.

Gdy pewnego poranku Paryżaninowi, tak samo, jak i nam przestaje smakować chleb Pawła, udaje się na drugi dzień do Gawła.

Cechą charakterystyczną mieszkańców wielkich miast, a głównie Paryża, jest niezwalczona chęć, niemal pasja, że się tak wyrazić można, ciągłego „kosztowania, próbowania“. Paryżanin lubi rozmaitość.

Nigdzie też na świecie nie nastręcza się więcej pokus do rywalizacji ze starem, dawno uznanemi firmami i do zakładania nowych, i nigdzie nowicjusz, znający się na rzeczy, pomimo całego ogromu konkurencji, nie ma więcej widoków powodzenia, niż właśnie w Paryżu.

Jednego wszakże warunku przedwstępnego dopełnić tu musi każdy przemysłowiec, choćby nawet taniość i wytworność towarów jego rzeczywiście były nieprawdopodobne. Sama wartość towaru nie zapewnia mu prędkiej i korzystnej rozprzedaży. Przedewszystkiem publiczność musi dowiedzieć się, że np. na ulicy Rivoli u Jana Bull znaleźć można wyborowe śniadanie za dwa franki, albo, że fabryka „Rissler ju-

nior" obicia swoje oddaje o jakie 25% taniej, aniżeli wszyscy jej konkurenci, w tej lub owej dzielnicy zamieszkali. Jednem słowem, pierwszem przykazaniem przemysłu francuskiego jest: „Rób reklamę!".. A łatwiej to powiedzieć, aniżeli wykonać. W Pacanowie lub w Birczy jeden z owych wielkich afiszów czerwonych, niebieskich lub różnokolorowych, jakiemi w Paryżu oblepione są wszystkie parkany, balustrady, niemal wszystkie ściany do wysokości pierwszego piętra — dostatecznym byłby do wywołania zbiegowiska ulicznego.

Paryżanin na takie rzeczy strasznie jest nieczuły. Wiedząc, że na każdym kroku łatwą znajdzie sposobność do zaspokojenia swych potrzeb materjalnych, nawet bez oglądania się na rozliczne oferty, idzie spokojnie ulicą, a na owe jaskrawe afisze zaledwie raczy rzucić okiem.

Tłumy ciekawych, cisnące się przed ogłoszeniami. na rogach ulic, lub dookoła słupów, składają się albo z cudzoziemców, albo z włóczących się próżniaków, żebraków i złodziei kieszonkowych, na których kljenteli kupcom bynajmniej nie zależy. Przemysłowcy paryscy prędko się przekonali, że skuteczność szukania rozgłosu na tej drodze, bardzo jest względną.

Ponieważ zaś ogłoszenia na ostatniej stronie dzienników są niezmiernie drogie (zazwyczaj przeszło dwadzieścia razy droższe, aniżeli w pismach naszych) i wtedy tylko wywierają wpływ pożądany, gdy im się nada formę jakąś nadzwyczajną, potworną, powzięto tedy myśl zadrukowywania niewielkich świstków papieru najrozmaitszemi zwrotami polecającemi i wciskania tychże w ręce przechodniów.

Metoda ta okazała się wyborną, ale tylko do pewnego czasu, dopóki była jeszcze nowością nie przez wszystkich używaną. Zdumiewano się, czytano, chowano kartki, krótko mówiąc, sposób ten przynosił znaczne korzyści.

Skoro jednak zaczęły mnożyć się naśladownictwa, gdy nie można było przejść trzech kroków po bulwarach, żeby nie być zaczepionym przez tużurkowych agentów lub posłańców publicznych, rozdających kartki na wszystkie strony, gdy nie wystarczało rąk na odbieranie owych kartek, powoli wytworzyła się reakcja, która doprowadziła do tego, że dziś już w Paryżu nikt nie sięgnie ręką po owe gwałtem wpychane ogłoszenie. System ten utrzymał się do czasów obecnych jedynie przez wzgląd na prowincjonalistów lub cudzoziemców, którzy skwapliwie wyciągają rękę po kartkę zadrukowaną reklamą.

Spekulacja jednak nie dała za wygranę i rzuciła się w poszukiwania za nowemi sposobami reklamy.

— Już my was zmusimy! — pomyśleli przemysłowcy zabrali się do dzieła i setkami tysięcy egzemplarzy kazali odbijać małe kalendarzyki, na zewnętrznej stronie których mieściły się najrozmaitszego rodzaju ogłoszenia, zazwyczaj drobnym drukiem pomieszczane. C. d. n.

Mianowania. Lwowski wyższy sąd krajowy zamianował kancelistę sądu powiatowego w Próchniku, Jana Rydza, adjunktem kancelaryjnym sądu obwodowego w Kołomyi, a zaś kancelistom sądów obwodowych: Józefowi Dawidowi w Przemyślu i Bazylemu Tymcikowi w Kołomyi, nadał posady prowadzących księgi gruntowe, a to pierwszemu przy sądzie obwodowym w Przemyślu, drugiemu zaś w Kołomyi.

Nekrologja. Andrzej Herr, właściciel dóbr ziemskich, lat 42 zmarł w Krakowie 17 b. m.

Bronisława Syrokomla Wieliczko, córka Henryka i Brygidy z Piekarskich, lat 22 zmarła 15 b. m. w Moszycach w Królestwie Polskiem.

Teatr, Literatura i Sztuka.

* Na scenie teatru hr. Skarbka we Lwowie już dwukrotnie popisywała się trupa ruska. Według słów lwowskiej prasy, towarzystwo ruskich artystów dodatnio się zaprezentowało. Na repertuar składają się naturalnie oryginalne ludowe sztuki.

Notatki myśliwskie z dalekiego Wschodu.

(Dokończenie).

Noc jeszcze była, gdyśmy wyszli z obozu i przeprawiwszy się na drugi brzeg rzeki Yala, znaleźliśmy się na szerokich, wysoką trawą zarosłych równinach, ulubionem miejscu wypasu bawołów.

Switać niebawem poczęło; gęste białe mgły, jak przejrzysta zasłona, unosiły się nad łąkami zalegając w około otwartą przestrzeń obszernych prerji, gdzieniegdzie czerniał krzew darniny, pojedyncze drzewo smukłej akacji lub karłowatej jabłoni. Dziki stadami plątały się w wysokich trawach, przemykając przez ścieżki i nie bojąc się przechodnia, jakby wiedziały, że się tu na nich uwagi nie zwraca; białe pelikany, z rybami w grubych dzióbach, spieszyły z rannego połowu z nad brzegów słonych jezior do gniazdowych kolonij; spłoszone pawie z wrzaskiem uciekały do gąszczu; czasem szakal chyłkiem się przemknął, z nocnej wracając wędrówki, najedzony padłem odnalezionego postrzałka: drobne ptaszki wesołym świergotem witały budzący się dzień Boży; z daleka morze huczało, górując głuchym szumem nad wszelkie inne głosy natury. Czerwona tarcza słoneczna wychylać się poczęła z za horyzontu, rzucając niezwykłe, mglistym oparem przyćmione światło na krajobraz w około.

Fata morgana tak wyglądać musi!

Zaledwie przez lornetkę, w białej mgle widoczny, ciągnął już sznurek bawołów do gąszczu, za daleko jednak, aby mu drogę zabiedz. Samotnie stojąca bawolica, łatwa do rozpoznania po długich, cienkich rogach, zwróciła moją uwagę, lecz zostawiliśmy ją w spokoju, pragnąc z bykiem pojedynkiem się spotkać. Opodal pasło się znowu kilka sztuk, lecz i te minęliśmy bez strzału.

Wyszliśmy z łąk na czystą, piaszczystą równinę, jakby dno wyschłego jeziora. W pośrodku niego, ku nam, na sztych, na stokilkadziesiąt kroków, stał bawół potężny, byk-pojedynek, dziwnie dużym się wydający, w bladem oświetleniu a na tle białej, miljonami drobnych muszelek migocącej równiny. Patrzył na nas, jakby wyzywająco, o ucieczce wcale nie myśląc; po chwili począł zwolna, krok za krokiem ku nam podchodzić. Podbiegłem do sterczącego w piasku pnia jakiegoś drzewa uschłego i powitałem go kulą z expressa. Byk skręcił się po strzale, zatoczył półkole i pełnym galopem, ze łbem w tył pochylonym, głośno sapiąc, prosto ku nam zawrócił. Chybionym był, bo widocznem było, jak kula zanim w piasek ugodziła. Chwila ciężkiej emocji, słyszałem za sobą zamięszanie w gromadce mej świty, która gęsiego za mną się ustawiła, ja zaś, stojąc za grubym pniem drzewa, byłem zakryty. Z lewki za gorąco i za prędko strzeliłem, chybiając powtórnie rozjuszone zwierzę o kroków nie więcej niż pięćdziesiąt od nas. Chwyciwszy podaną mi zręcznie w oka mgnieniu przez mego murzyna, Fereka, drugą strzelbę, wytrzymałem jeszcze sekundę i trzecią kulę posłałem: pierwszą, która nie chybiła celu. Czas był ostateczny, bawół był tuż przed nami. Dopiero teraz bawół zreflektował się i skręcił w bok, dając mi możność drugiego strzału w komorę. Runął w ogniu, lecz dźwignął się; chrapiąc i dysząc, pocwałował w stronę jeziora. opodal się ciągnącego. Pół dnia szukaliśmy go; kilku krajowców obietnicą datku zachęconych, wzdłuż i wszerz przeszło wszystkie gąszcze i okoliczne kryjówki — bawół jak w wodę wpadł. I rzeczywiście w wodę gdzieś wleźć musiał i zapchać się w niedostępne krzaki, w wodzie słonego jeziora rosnące, dokąd krajowcy z obawy przed aligatorami zapuszczać się nie śmieli. Jestem pewien, że daleko ujść nie mógł i zginął gdzieś marnie. Dla mnie zdobycz była stracona, lecz nabyłem wspomnienie najpiękniejszego spotkania, jakie miałem z tym wspaniałym dżungli ceylońskiej mieszkańcem.

Józef Potocki.

HUMOR.

— Żonaty?
— Nie!
— Kawaler?
— Nie!
— A więc czem? Czem?
— Czyż nie można być zaręczonym?

— Przyniosłem tu portret syna, który u mnie zamówił, nieprawda że podobny?
— A jakże.
— Ale jeszcze nie zapłacił.
— To jeszcze więcej do niego podobne.

— Czemuście się dziś dopiero pobrali, gdy ty masz już lat 35, a twój mąż 50? Przecie on od lat dziesięciu do ciebie konkurował?
— Tak, ale wówczas był dla mnie o wiele za stary!

— Jakże panu smakuje gęsia wątróbka?
— Trochę przygorzka.
— O jej! To pewnie gęś musiała się o coś złościć!

— Za dużo wody w tem winie — skarży się jeden z gości.
— Przeciwnie, za mało wina w tej wodzie — dekretuje drugi.

Przed Hawełką.
— Wiesz co — rzekł goły do gołego, przyglądając się wystawionym w oknie żywym homarom — mam ochotę wstąpić i kazać sobie ugotować jednego.
— Daj pokój, bo z pewnością zarumieni się ze wstydu, że go połykasz.

Wyznawca siły przed prawem,
Żoneczkę sobie wziął młodą
A dzisiaj jawnie wyznaje:
Że siła słabnie przed modą!

OSTATNIA POCZTA.

Donoszą z Petersburga: Car zatwierdził decyzję komitetu ministrów, dotyczącą rewizji ustawy obowiązującej o służbie cywilnej, a to z powodu, że nie odpowiada ona teraźniejszym wymaganiom organizacji państwowej. W tym celu przy Radzie państwowej utworzoną będzie komisja z najwyższych dygnitarzy państwowych na różnorodnych urzędach. Car rozkazał, ażeby w komisji tej przewodniczył sekretarz stanu, rządowy tajny radca Peretz.

Najważniejszym politycznym wypadkiem dnia jest groźny zatarg pomiędzy Anglją a Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej. Początki jego są daty daleko wcześniejszej. Idzie mianowicie o granice Venezueli i Guyany angielskiej, co do których od dłuższego czasu toczą się już rokowania pomiędzy Waschingtonem a Londynem. Lord Salisbury odpowiedział na propozycje sądu rozjemczego kategoryczną odmową, wobec czego prezydent Cleveland wystosował do kongresu wojownicze prawdziwie orędzie. Wiedeńskie biuro korespondencyjne streszcza tekst tego orędzia jak następuje:

„Wbrew wywodom Salisburego oświadcza Cleveland, że zapatrywanie Ameryki na sprawę sporną jest zupełnie właściwe i ważne, i wyraża ubolewanie, że Anglja odrzuciła sąd rozjemczy. Orędzie stwierdza, że wobec tego należy daną sytuację przyjąć i odpowiednio do niej działać. Prawdziwa granica Venezueli i Guyany angielskiej powinna być nakreślona przez komisję. Zbadawszy sprawozdanie tej komisji, Stany Unji odeprą wszystkiemi siłami, jakiemi rozporządzają, wszelkie napaści na ich prawa i interesy; również muszą stanowczo się sprzeciwić przywłaszczeniu przez Anglję jakichkolwiek terytorjów. Jakkolwiek jest to bolesnem, że oba po angielsku mówiące ludy, mogą się spotkać, nietylko na drodze pokojowego współzawodnictwa, to przecież nie ma nieszczęścia równego temu, jakieby mogło powstać z bezczynnego poddania się nieusprawiedliwionej krzywdzie. Byłaby to strata narodowego honoru".

Nic dziwnego, że tego rodzaju orędzie sprawić musiało jak najgłębsze wrażenie na całej opinji publicznej w Anglji i w Ameryce. Na pierwszą o niem wiadomość, irlandzki związek narodowy ofiarował Stanom Zjednoczonym sto tysięcy żolnierzy na wypadek wojny z Anglją. Organ lorda Salisburego, *Standard* podnosi, że stanowisko. zajęte przez Clevelanda, jest niedorzeczne. Jedyną odpowiedzią Anglji może być odmowa — albo poniżenie się i przyjęcie orzeczeń władzy wykonawczej Stanów Zjednoczonych w sprawie, która nie leży w zakresie ich jurysdykcji. Najpoważniejszy dziennik, *Times*, pisze, że niepodobna taić, iż między Anglją i Ameryką powstało silne naprężenie stosunków. Ustępstwa, podsuwane Anglji, są tego rodzaju, że żaden szanujący się naród nie mógłby się im poddać. Trudno przypuścić, aby amerykański rząd miał wstąpić na drogę, jaką grozi Cleveland. Gdyby jednak tak się stało, wówczas byłoby obowiązkiem Anglji bronić swoich interesów i praw. Doktryna Monroego nie była nigdy uznaną jako międzynarodowa ustawa. Propozycja Clevelanda jest najbardziej zdumiewającą ze wszystkich, jakie od czasów Napoleona pojawiły się w pokojowej dobie. Wiele należy wybaczyć wobec zbliżających się wyborów prezydenta. Nie mało czasu upłynie, nim ustanowioną będzie komisja, zalecona przez Clevelanda, a sprawozdanie komisji może nie będzie przedłożone przed przejściem w inne ręce władzy wykonawczej. Cokolwiek jednak stanie się, Anglja musi silnie i spokojnie obstawać przy swoich prawach niezawisłego państwa, a w razie potrzeby poczynić dla zabezpieczenia praw odpowiednie zarządzenia". W każdym razie z naprężeniem oczekiwać należy dalszego przebiegu wypadków.

Biuro Reutera donosi z Zanzibaru: Karawana, złożona z 1.200 osób, dążąc dnia 26 listopada wieczorem z powrotem ku wybrzeżom, przebywała wąwóz Eldoma, przyczem przechodziła obok osad Massajów. Massajowie, którzy sami obawiali się zaczepki, napadli na karawanę i zabili około tysiąca osób. Pozostali przy życiu, między którymi znajdowało się dwóch Francuzów, spotkali się na drodze do jeziora Rudolfa z kupcem Dickiem, który się z nimi połączył. Przebywając dolinę Kedongu, ujrzeli Massajów, cofających się ze zrabowanem bydłem i odebrali im takowe. Massajowie uderzyli jednak powtórnie, odebrali bydło, a w bitwie zginął kupiec Dick. Francuzi powrócili następnie do Rikugi. Biuro Reutera sądzi, że musiała to być karawana rządowa, powracająca ku wybrzeżom. — Obydwaj Francuzi są prawdopodobnie księżmi z Ugandy.

Do dzisiejszego numeru dołączamy nadzwyczajny dodatek powieściowy, arkusik 24, z powieścią „Mała księżniczka".

Telegramy

własne „*Głosu Narodu*".

Wiedeń 18 grudnia. Deputowany dr Herold zawiadomił parlamentarny klub młodoczeski, że zamierza złożyć mandat poselski do Rady państwa, ponieważ chce być wybranym na członka czeskiego Wydziału krajowego.

Praga 18 grudnia. Imieniem Młodoczechów oświadczają *Narodni Listy*, że stronnictwo gotowe jest do wystąpienia z nowemi propozycjami ugo-

dowemi na wezwanie zastępcy marszałka krajowego, ale z tem jednem zastrzeżeniem, że ugoda obejmować musi Morawy i Szląsk.

Warszawa 17 grudnia (pocztą do granicy). Wiadomości podane przez pewien dziennik krakowski o wrzekomo odkrytym spisku na życie cara, są zmyślone. Prawdą jest tylko to, że z powodu zbliżającej się koronacji, która się odbędzie d. 17 maja, policja w Moskwie została znacznie pomnożoną. O tem, ażeby po koronacji nastąpiły zmiany na lepsze, nie ma wcale mowy. Reprezentantem Austrji na koronacji ma być arcyksiążę Karol Ludwik. Także papież wyszle swojego zastępcę, który jednak przybędzie do Moskwy dopiero na drugi dzień po koronacji, gdyż delegat papieski nie może być obecnym na obrządku prawosławnym. Manifest cesarski wyjdzie w d. 17 maja.

Berlin 18 grudnia. Odwiedziny cesarza u Bismarcka są przedmiotem powszechnych rozmów i komentarzy. Utrzymują, że zachowanie się Bismarcka było bardzo poważne i pełne rezerwy. Po obiedzie miał cesarz dłuższą rozmowę z Bismarkiem, przy której nikt nie był obecny. Podobno cesarz Wilhelm zaprosił Bismarcka do wzięcia udziału w zapowiedzianej na dzień 18 stycznia dworskiej i parlamentarnej uroczystości.

Berlin 18 grudnia. Cesarz konferował przez godzinę we Friedrichsruhe z księciem Bismarkiem. W kołach politycznych domyślają się, że szło o kwestję polityki wewnętrznej i zamierzone zmiany w najwyższych urzędach państwowych.

Belgrad 18 grudnia. Cenzura austrjacka zabroniła rozszerzania w Bośnji i Hercegowinie wszelkich książek treści, mającej związek z historją narodu serbskiego. W liczbie książek zakazanych znajduje się także „Historja Serbów", napisana przez ministra Kallaya.

Petersburg 18 grudnia. Jak donosi *Now, Wremja*, podniesiony został projekt wysłania do Abisynji dla niesienia pomocy rannym oddziału sanitarnego.

Konstantynopol 18 grudnia. Głód w Armenji z powodu pozbawienia jej przez Kurdów wszelkich zapasów zboża, tudzież ogólnego zastoju w interesach handlowych, przybiera przerażające rozmiary. Ludzie, zwłaszcza kobiety i dzieci, mrą setkami z głodu.

Konstantynopol 18 grudnia. Sułtan ofiarowywał Kiamilowi baszy urząd wielkiego wezyra. Kiamil basza odrzucił propozycję ze względu na stan swego zdrowia.

Rzym 18 grudnia. *Italia militare* donosi, że jen. Baratieri usiłuje zatrzymać pochód Abisyńczyków przy pomocy fortów Asmary i Adigratu. Mimo to jest prawdopodobnem, że nieprzyjaciel zechce dotrzeć do Massawy przez Aduę, pozostawiając Adigrat za sobą.

Rzym 18 grudnia. Włosi fortyfikują pospiesznie Asmarę, którędy Abisyńczykom najłatwiej byłoby wpaść do kolonji erytrejskiej (Massawy). W Makalle stoi tylko jeden batalion włoski z czterema działami.'

Londyn 18 grudnia. Korespondent rzymski *Timesa* utrzymuje, że stosunki pomiędzy Włochami a Anglją pogorszyły się. Utrzymuje on, że ma dowody tego w rękach. We Włoszech utwierdza się przekonanie, że umowa angielsko-włoska była błędem.

Londyn 18 grudnia. Zaprzeczają wiadomości, jakoby mocarstwa uczyniły krok, przynaglający Japonję do ewakuacji Korei.

Syra 18 grudnin. Biuro Reutera donosi z Krety: W d. 15 b. m. trzy bataljony tureckie napadły na zebrany w Apokoronie komitet reform. Walka rozszerzyła się na kilka wsi okolicznych. Zginęło pięciu chrześcijan a 8 jest rannych. Tyrcy utracili 27 zabitych i 22 rannych. W Alikammo Turcy zabili trzech starców, dwie kobiety i pięcioro dzieci.

Ateny 18 grudnia Z Krety donoszą: W walce pod Brisal, zginęło 160 Turków. Turcy cofnęli się następnie do Canei, gdzie wymordowali znaczną liczbę kobiet i dziewczyn chrześcijańskich.

Wiedeń 18 grudnia (w południe). Hr. Badeni przyjmował deputację urzędników, która wyraziła podziękowanie za życzliwe słowa, wypowiedziane w sprawie urzędników w parlamencie. Hr. Badeni zaznaczył w odpowiedzi potrzebę nietylko materjalnego ale i moralnego podniesienia urzędników i oświadczył. że urzędnicy w życiu publicznem muszą się ściśle trzymać pewnych oznaczonych granic. Urzędnicy — mówił hr. Badeni — w interesie służby państwowej powinni unikać tego, aby nie używano ich za narzędzia ruchu politycznego, wymierzonego przeciw władzy. Wkońcu zapewnił hr. Badeni, że kwestja urzędnicza załatwioną zostanie jeszcze w roku 1896.

Wiedeń 18 grudnia (w południe). Parlament odroczony zostanie prawdopodobnie w piątek. Być może, że zajdzie potrzeba wieczornych posiedzeń.

Zofia 18 grudnia (w południe). Sobranje uchwaliło prawie jednomyślnie posłać carowi Mikołajowi powinszowania w dniu jego imienin.

Berlin 18 grudnia (w południe). Wizycie cesarza u Bismarcka, oraz spotkaniu się cesarza z hrabią Waldersee w Altonie, przypisują tu doniosłe polityczne znaczenie. Oczekiwać należy mianowicie nowych zmian na najwyższych stanowiskach.

Berlin 18 grudnia (w południe). Pewne wrażenie sprawia tu ogłoszony w dziennikach protest pięćdziesięciu trzech zwyczajnych profesorów uniwersytetu berlińskiego przeciwko wytaczaniu przez ministerstwo oświaty procesów dyscyplinarnych prywatnym docentem.

Petersburg 18 grudnia (w południe). Gradonaczalnik Wahl, otrzymał już formalną dymisję, która ogłoszoną zostanie w tych dniach w *Prawit. Wiestniku.*

Paryż 18 grudnia (w południe). Wypadkiem dnia jest aresztowanie Dupasa. Dzisiaj zawezwany został przed sędziego śledczego adwokat Royére, b. obrońca Artona. Prawdopodobnie i Royére zostanie zaaresztowany. W sprawie aresztowań ma być wniesiona interpelacja w Izbie.

Nizza 18 grudnia (w południe). Dzisiaj oczekiwany tu jest rosyjski następca tronu w. ks. Jerzy. Przygotowano już dla ciężko chorego księcia willę w La Turbie.

Rzym 18 grudnia (w południe). Przedłożenie rządowe w sprawie dwudziestomiljonowego kredytu na wyprawę afrykańską wywołało w Izbie tylko krótką dyskusję. Cavallotti stawiał wniosek, aby wyznaczono komisję z reprezentantów wszystkich stronnictw dla zbadania przedłożenia w ciągu jednego dnia. Wnioskowi temu sprzeciwił się Crispi i zażądał, aby sprawę przedłożenia pozostawiono komisji budżetowej, wobec czego Cavalotti wniosek swój cofnął. Komisja budżetowa zgromadziła się wieczorem i uchwaliła kredyt wszystkiemi głosami przeciw jednemu. Rząd oświadczył, że suma 20 miljonów na razie wystarczy.

Rzym 18 grudnia (w południe). W senacie twierdzą, że rząd od dwóch dni nie otrzymał już żadnej wiadomości z Afryki i sądzi, że jenerał Baratieri zawikłał się w walki z armją szoańską.

Bruksela 18 grudnia (w południe). Rada ministrów postanowiła zażegnać przesilenie gabinetowe uchwaleniem deklaracji, przyrzekającej zaprowadzenie osobistej służby wojskowe.

Bruksela 18 grudnia (w południe). Wojska Kongo odniosły pod dowództwem Lothaira świetne zwycięstwo nad powstańcami.

Ostatnie telegramy „Głosu Narodu".

Wiedeń 19 grudnia (rano). Na wczorajszem posiedzeniu Izby poselskiej protest wniesiony przeciwko wyborowi żyda z Koła polskiego, Trachtenberga, przekazano komisji legitymacyjnej. Izba obradowała następnie w dalszym ciągu nad organizacją państwowych urzędów salinarnych. Zabierali głos Formanek, Palffy, Kaizer i Pfeifer.

Wiedeń 19 grudnia (rano). Na przedmieściu Doeblink przy pracy około studni, wskutek nieszczęśliwego wypadku, dwóch robotników zostało żywcem pogrzebanych.

Wiedeń 19 grudnia (rano). Obrad szczegółowych nad etatem ministerstwa spraw wewnętrznych nie ukończono jeszcze na wczorajszem posiedzeniu. Dzisiaj obrady prowadzone będą w dalszym ciągu.

Wiedeń 19 grudnia (rano). Towarzystwo akcyjne dla wyzyskiwania źródeł nafty w Schodnicy założone przez Anglobank i posła Szczepanowskiego posiada kapitał akcyjny w wysokości sześciu miljonów koron.

Paryż 19 grudnia (rano). Adwokat Royére, były obrońca Artona, został zaaresztowany.

Rzym 19 grudnia (rano). Na wczorajszem posiedzeniu Izby toczyła się dyskusja nad sprawą afrykańską a względnie nad przedłożeniem rządowem o dwudziesto miljonowym kredycie. Między innymi zabierał głos Imbriani, oświadczając się przeciwko uchwaleniu kredytu.

Londyn 19 grudnia (rano). Artykuł *Timesa* zaznaczający, że Anglja w niczem nie może ustąpić pretensjom amerykańskim, sprawia wszędzie silne wrażenie. Prasa amerykańska oświadcza się jednomyślnie i energicznie za wojną z Anglją. Wiadomość o tem, że liga irlandzka ofiarowała rządowi Stanów 100.000 uzbrojonego wojska, przyjmują amerykańskie dzienniki z nieopisaną radością.

Ateny 19 grudnia (rano). Rząd grecki wniósł do rządu tureckiego protest przeciwko gwałtom na Krecie za pośrednictwem jeneralnego konsula Koratheodoryego.

Wiedeń 19 grudnia (po zamknięciu giełdy). Kredyty 33550; Länderbank 229 50; Staatsbahny 347 —; Renta majowa 99·60; Renta koronowa 9960; Tureckie 47·50 Alpiny 67·50.

Gospodarstwo i handel.

Z kolei. Dotychczasowa nazwa przystanku Wawrowice, położonego na szlaku Ołomuniec-Opawa zostanie zmienioną z dniem 15 grudnia 1895 na Wawrowice-Cukrownia.

Z dniem 15-go grudnia b. r. zostanie otwarty ruch na kolei lokalnej Beneschau-Wlaschim, ze stacjami Jemnischt, Postupitz, Bruck-Domaschin, Wlaschim i przystankiem osobowym Strucharzów.

Odpowiedzi Redakcji.

Panu Józefowi L. Żydowska niechlujność jest przysłowową. Najlepsza rada nie chodzić do żydowskiej jadło-, a właściwie chorobo-dajni. Będzie Pan miał i żołądek zdrowy i nie będzie się Pan irytował, czekając godzinę na szklankę piwa.

Rzekomemu prenumeratorowi w Krakowie. Nie jesteś Pan prenumeratorem. Jesteś żydem, albo moskalofilem. Można to poznać z nienawiści, jaką ziejesz do naszego dziennika. Gdybyś był prenumeratorem, byłbyś był wyczytał, że deputacja ruska w Wiedniu podejmowaną była także przez socjalnych demokratów, byłbyś był wiedział, że kwestja wyborów w okręgach rusko-polskich jest kwestją narodową, byłbyś był się nauczył wreszcie, że jest to jeden z postulatów zasady autonomicznej, aby sprawy krajowe przed forum krajowem wytaczać. Gdybyś Pan był wreszcie uczciwym Polakiem i katolikiem miałbyś to poczucie, że pisanie czelnych anonimów jest rzeczą tchórzliwą, brudną i nikczemną.

Przyjechali do Krakowa.

Grand Hotel. A. Zalutyński z Galicji. J. Górski z Gra[illegible]. E. Schmekel z Brosdorfu. R. Spitz z Wiednia.

Hotel Saski. Dr St. Cięglewicz z Jasła. Fr. Pfeif[illegible] z Witkowic. Dr A. Hischberg ze Lwowa. Ede Marcin z Włoch. M. Szyffer z Łodzi. J. hr. Bieliński z Galicji. St. Frycz ze Lwowa. St. Dąmbski z Galicji.

Hotel Drezdeński. O. Epstein z Glewic. H. Loos z Wiednia. M. Murin z Węgier. H. Pisk z Wiednia. O. Haupt z Wiednia. T. Pol z Warszawy.

Groby królewskie, grób Mickiewicza i skarbiec w katedrze na Wawelu zwidzać można w dnie powszednie o godz. 10, w niedziele i święta o godz. 11½.

Groby zasłużonych (w krypcie na Skałce), **grób Skargi** (w kościele św. Piotra), oraz **skarbiec** kościoła N. P. Marji oglądać można w chwilach wolnych od nabożeństwa za zgłoszeniem się do zakrystji.

Wystawa Nieustalca Zjedn. Towarzystwa Przyj. Sztuk pięknych w Sukiennicach otwarta codziennie od godz 11—4 prócz poniedziałków. Wstęp w niedziele 15 ct., w dni powszednie 30 ct.

Muzeum Narodowe (w Sukiennicach) otwarte jest codziennie od godz. 11—3 popołudniu, z wyjątkiem poniedziałków, za opłatą wejścia 20 ct. w dzień zwykły, w niedziele i święto po 10 ct. od osoby.

Gabinet Geologiczny Uniw. Jagiell. w *Collegium physicum* przy ul. św. Anny na I piętrze otwarty w każdą niedzielę od god. 9—1 w południe.

Gabinet Zoologiczny Uniw. Jagiell. w *Collegium physicum* przy ul. św. Anny na I piętrze otwarty w każdą sobotę i niedzielę od godz. 11—1 w południe.

Muzeum XX. Czartoryskich otwarte dla zwidzających we wtorki i piątki od godz. 9—1 po południu, o ile w te dnie nie przypadają święta.

Muzeum Techn.-Przem. w gmachu Franciszkańskim, otwarte codziennie od godz. 10—6. Wstęp 20 ct. od osoby. W niedziele od godz. 10—2 bezpłatny.

POCIĄGI KOLEJOWE.

Do Krakowa przychodzą:

Od strony Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 6 minut 6 rano pospieszny (wszystkie trzy klasy); godz. 7 minut 33 rano osobowy z Oświęcimia; godz. 9 minut 37 przed południem osobowy; godz. 2 min. 34 po południu błyskawiczny (I i II kl.); godz. 5 min. 3 po południ. osobowy; godz. 8 min. 45 wieczorem pospieszny (trzy klasy); godz. 10 min. 10 wieczorem osobowy. — **Od strony Lwowa**: godz. 5 rano osobowy; godz. 7 rano pospieszny; godz. 8 min. 55 rano osobowy z Rzeszowa; godz. 2 min. 24 po południu błyskawiczny; godz. 2 min. 45 po połud. osobowy; godz. 8 min. 2 wieczór osobowy; godz. 9 min. 35 wieczór pospieszny. — **Z Wieliczki**: godzina 11 minut 10 przed południem i godzina 6 minut 45 wieczór pociągi mięszane.

Z Krakowa odchodzą:

W kierunku Wiednia, Warszawy i Berlina: godz. 5 min. 38 rano osobowy; godz. 7 min. 25 rano pospieszny; godz. 9 min. 25 przed południ. osobowy; godz. 2 min. 31 po południu (I i II kl.); godz. 3 min. 20 po połud. osobowy; godz. 6 min. 10 wieczór osobowy do Oświęcimia; godz. 10 wieczór pospieszny. — **W kierunku Lwowa**: godz. 6 min. 31 rano pospieszny; godz. 8 min. 37 rano osobowy: godz. 10 min. 30 przed południ. osobowy; godz. 2 min. 40 po południ. błyskawiczny (I i II kl.): godz. 6 min. 35 wieczór osobowy do Rzeszowa; godz. 9 min. 15 wieczór pospieszny: godz. 10 min. 55 wieczór pospieszny. — **Do Wieliczki**: godz. 12 min. 20 w południe i godz. 8 minut 10 wiecz. pociągi mięszane.

Czas środkowo-europejski.

KURSA TELEGRAFICZNE.

Wiedeń 18 grudnia 2 godz. 30 minut po poł.

	złr. ct.		złr. ct.
Renta austr. papier opod .	99 50	Anglobank . . .	157 —
Renta austr. srebrna . . .	[illegible]	Union	283 —
Renta austr. 4% złota . .	121 25	Bankverein . . .	134 75
Renta austr. 4% koronowa	99 85	Akcje Länderbank	[illegible] —
Akcje banku au.-w.	975	„ kol. Kar. Lud.	— —
„ kredytowe .	352 50	„ „ lwowsko-czerniow.	— —
Londyn	121 —	„ „ połudn. .	94 —
Napoleony . . .	9 60	Elbenthal . . .	[illegible]
Dukaty	5 74	Nordbahn . . .	——
Marki	59 25	Staatsbahn . . .	[illegible]
4% Renta węg. kor.	98 20	Alpin	65 25
4% „ „ złota	121 35	Akcje tytoniowe .	— —
Losy prem. węg. .	149 —	Ruble	129 75
Losy tureckie . .	47 25		

Berlin 18 grudnia.

Banknoty austr. .	168 60	4% Listy likw. pol.	67 —
Krótki Wiedeń . .	168 50	Renta włoska . .	84 —
Banknoty ros. . .	218 90	Akcje austr. kred.	222 20
Listy zast. pols. .	217 70	Ultimo ruble . .	218 25

Usposobienie giełdy słabe.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa.
W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.